NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW,** ZACISZE 7. Nr TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 10 sierpnia 1907. Nr. 32.

Zemsta rewolucyonistów. (Treść na stronie 2)



Zemsta rewolucyonistów.

(Do illustracyi tytułowej).

Straszna, nieludzka wprost kara spotkała Jana Sprogego, zastępcę przewodniczącego jednego z rewolucyjnych związków łotewskich. Człowiek ten, dla uratowania życia swych dwojga drobnych dziatek, zdradził przed policyą rosyjską, gdy ta wykryła jego udział w czynnościach spiskowych, plany i szczegóły akcyi rewolucyonistów.

Wskutek denuncyacyi Sprogego cały prawie komitet wpadł w ręce władz rosyjskich, a członkowie jego zostali skazani częścią na więzienie, częścią zaś na śmierć. Ci, którzy zdołali się uratować, postanowili srogo ukarać zdrajcę. Dowiedziawszy się jego imienia, wykonawcy strasznej uchwały komitetu ujęli Sprogego tuż w pobliżu tego właśnie miejsca, gdzie policya uwięziła rewolucyonistów, pod jednym z młynów, leżącym na uboczu drogi z Mitawy do Rygi. Tam też wykonano egzekucyę.

Związanego silnymi sznurami Sprogego rzucono do piwnicy. Leżąc na zimnej ziemi patrzył obłąkanemi z przerażenia oczyma na przygotowania swych katów. Po chwili czterej z nich zbliżyli się do skazańca, a wbiwszy głęboko cztery pale w pewnej od siebie odległości, przywiązali do nich nogi jego i ręce. Następnie przyniesiono duże prześcieradło i rozciągnięto nad Sprogem, rownocześnie zaś wysypano na prześcieradło całą beczkę mąki. W tej chwili jeden z rewolucyonistów zbliżył się do Sprogego i w zwisającem prześcieradle wykroił mały otwór, tuż nad twarzą skazańca. Po tym czynie wszyscy rewolucyoniści ulotnili się.

Rozpoczęły się straszne tortury Sprogego. Oto przez mały otwór w prześcieradle sączyła się mąka i spadała na usta nieszczęśliwego. Przez dłngą chwilę mógł dmuchając silnie chronić nos i usta przed zatkaniem lotnym pyłem mąki. Ale wnet siły poczęły go opuszczać, płuca osłabły — a tu mąka sypie się i sypie bez końca, przesłaniając mu oczy, nos, usta, zatykając gardło, tamując oddech. Ostatnimi wysiłkami próbował zerwać krępujące go więzy — ale na darmo. Mocne były i tylko boleśniej wpiły się w jego członki.

Okropna egzekucya kończyła się. Oddech Sprogego przemienił się w gwizd, potem w rzężenie, wreszcie ustał, ciało wyprężyło się — zdrajca skonał... A mąka sypała się dalej, pokryła całą głowę, pokryła część ciała, niby biały, straszny całun.....

Rycina nasza na stronie tytułowej przedstawia straszną chwilę wykonania kary za zdradę na osobie Sprogego.

Pani Wölflingowa w Wiedniu.

W poprzednim numerze „Now. Illustr.“ przypomnieliśmy głośną sprawę rozwodową b.- arcyksięcia Leopolda Ferdynanda z p. Wilhelminą Adamowicz. Sprawa ta zajmuje dotychczas umysły czytającej publiczności, wywołując coraz to nowe domysły, coraz bardziej „autentyczne“ szczegóły, a zawsze prawie sprzeczne z poprzednimi, mniej „autentycznymi“.

Wątpliwości nie nlega jedynie ten fakt, iż państwo Wölflingowie nie żyją ze sobą i że ona bawi obecnie we Wiedniu. Dowodem tego jest choćby załączona w dzisiejszym numerze naszego pisma fotografia, przedstawiająca rozwiedzioną małżonkę b. arcyksięcia na jednej z ulic Wiednia, w towarzystwie dwn sióstr.

Skromna, pojedyncza toaleta, jakich tysiące spotyka się na nlicach każdego wielkiego miasta, swobodne ruchy, twarz o miłym wyrazie, całe zachowanie się zupełnie poważne, oto wszystko, co cechuje p. Wölflingową. Patrząc na nią trudno się domyśleć, iż przeszła ona w życiu wielką tragedyę, iż doznała w życiu niejednego zawodu.

A i teraźniejsze stosunki młodej tej, przystojnej osoby nie są wcale wesołe. Wiadomo, że sprawa jej dochodów zupełnie dotąd nie jest uregulowaną. Stąd kłopoty finansowe, a za nimi zmartwienia i szereg przykrości. Spodziewać się jednak należy, że stosunki materyalne p. Wölflingowej tylko chwilowo są tak smutne. Trudno przypuszczać, by były arcyksiążę nie zapewnił swej rozwiedzionej małżonce należytych dochodów.

Dziś pociechą dla niej jest towarzystwo dwu sióstr starszych, których obecność niewątpliwie przyczynia się do rozweselenia i ożywienia w smutnych, kłopotliwych dniach. Reszty dopełni charakter Wiednia, miasta, jak nie wiele innych wesołego i ożywionego. W tem środowisku ludzi wiecznie uśmiechniętych, najłatwiej zapomina się o kłopotach i troskach życia.



Pani Wölflingowa w Wiedniu: Wilhelmina Adamowicz-Wölfling (X) w towarzystwie sióstr.

Jarmark małżeński.

Zabytkiem dawnych wierzeń, pochodzących nieraz z zamierzchłych czasów bałwochwalstwa, pozostały w kraju każdym nietylko dziwne, nieraz bardzo poetyczne legendy i podania, ale i przesądy, które ludność danych okolic troskliwie przechowuje i ich dopełnia. Zwłaszcza w ostatnich czasach przez badania etnograficzne wydobyto niejedno z zapomnienia i do życia przywrócono.

Dziwny, przypominający zapewne jeszcze barbarzyńskie czasy zachował się zwyczaj w pewnem belgijskiem miasteczku, Ecaussines. Co roku odbywa się tam jarmark małżeński, najludniejszy i najbardziej ożywiony ze wszystkich jarmarków. Napływ młodzieży obojga płci jest nadzwyczaj liczny, bo na oznaczony dzień spieszą do Ecaussines całe kompanie ludzi z najodleglejszych okolic. Młode panny w otoczeniu babek, ciotek i całego legionu kumoszek stają na placu, by sprezentować się całemu znowu oddziałowi dziarskich młodzieńców, chętnych głowę swą włożyć w jarzmo małżeńskie.

Po tem pierwszem problematycznem jeszcze zawarciu znajomości, zaczyna się zachwalanie „towaru“, przedstawianie jego zalet, z których najważniejszą jest posag, poczem dopiero wyliczane bywają cnoty przyszłych małżonek. Tutaj główne role odgrywają wszelkie ciotki, które nieraz dużo muszą się napracować, zanim dobiją targu, a młodzież przez ten czas bada wzajemne ku sobie skłonności, zabawiając się w jarmarcznych budach. Panna młoda pierwszej przyszłej małżeńskiej pary staje się przedmiotem wielkich owacyj, często jednak połączonych z zazdrością stron, które nie mogły nic utargować.

Jak przedstawia nasza rycina, na największym placu miasteczka, wspaniale przystrojonym girlandami kwiatów, na specyalnie przyrządzone podwyższenie męska młodzież wprowadza pierwszą oblubienicę, pokazując ją niejako wśród ciągłych wiwatów całemu światu; obok swej już narzeczonej stoi szczęśliwy i zadowolony, przynajmniej na razie, przyszły małżonek. Drugą stronę podwyższenia zajęła płeć piękna nie tak już rozentuzjazmowana, bo zawód maluje się na pięknych twarzach,



Jarmark małżeński: Owacya dla pierwszej oblubienicy.

uśmiechają się tylko podlotki, które nie miały jeszcze czasu stracić nadziei.

Bieżący jarmark należał do bardzo pomyślnych, bo aż czterdzieści cztery osoby nie licząc rodzin, wraca uszczęśliwionych do domu; do roku więc, bo tak wymaga jeden z paragrafów ustawy jarmarku małżeńskiego, 22 pary stanie przed ołtarzem,



Związek teatrów i chórów włościańskich: Dr. Zygmunt Gargas, prezes Związku

by po kilkunastu latach zjawić się znowu ale już jako strony sprzedające.

Pewien z naszych przyjaciół radzi nam rozpisać ankietę, o ile nasza płeć piękna poparłaby urządzenie takiego jarmarku i w naszym kraju.

Związek teatrów i chórów włościańskich.

Kilkakrotnie podawaliśmy w naszem piśmie wiadomości o trupach amatorskich włościańskich, podnosząc wybitne społeczne i narodowe znaczenie tego nowego czynnika kulturalnego. Trup tych jest już liczba bardzo znaczna. W roku 1906 teatrzyki takie istniały w 111 miejscowościach, z czego przypada na Galicyę wschodnią 51 miejscowości, na zachodnią połowę kraju zaś 60 miejscowości.

Na repertuar wszystkich tych teatrów amatorskich składały się sztuki przeważnie dawne, których literatura nasza dramatyczna wogóle nie posiada wiele. Brak tego rodzaju utworów scenicznych, zastosowanych do poziomu kultury zarówno amatorów, jak widzów wiejskich, jest jedną z najważniejszych przeszkód, z powodu których rozwój idei teatrów włościańskich się opaźnia. Bo są i inne przeszkody i trudności, jak brak rekwizytów teatralnych, kostyumów, maszyneryi itd.

Dla zaradzenia tym wszystkim brakom, dla skierowania tego ruchu w tym kierunku, by w kraju naszym powstał kiedyś zupełnie odrębny narodowy teatr chłopski, teatr, któryby przez swoją rodzimą, oryginalną działalność był źródłem rozrywki i podniesienia duchowego nietylko dla samych włościan, lecz także dla wszystkich, którym los kazał pracować zdala od społecznych centrów kulturalnych, powstał obecnie we Lwowie Związek teatrów i chórów włościańskich.

Na czele Związku stanął znany działacz społeczny, dr. Zygmunt Gargas, zasłużony także na polu teatru wiejskiego autor książki: „Teatry chłopskie w Galicyi“. były dyrektor teatru lwowskiego p. Tadeusz Pawlikowski i poeta podhalański p. Józef Jedlicz.

Działalność Związku będzie miała niewątpliwie znaczenie nietylko dla Galicyi, ale i dla innych dzielnic Polski. Już w chwili powstania Związku, myśl przez Związek podjęta, znalazła głośne echo na Śląsku i w Królestwie.

* * *

W uzupełnieniu tego artykuliku zamieszczamy portrety pp. Gargasa i dyr. Pawlikowskiego.

Jazda na rowerze w powietrzu.

Do najważniejszych i niezbędnych praw, które człowiek zawsze i w każdej okoliczności musi zachowywać, należy bezsprzecznie równowaga. Ona panuje niepodzielnie na świecie tak pod względem fizycznym jak i moralnym. Człowiek musi zachowywać ją w swem postępowaniu, gdyż o ile tylko od niej odstąpi — upada. Czujemy wszyscy, iż bez równowagi w budżecie, w pokarmach, pracy, zabawie, nie możemy się ostać; nie mniejszą rolę odgrywa ona i w świecie fizycznym, bo wszystko na tem prawie jest oparte; człowiek potrafi chodzić po ziemi tylko dzięki utrzymaniu równowagi, tracąc ją, przewracamy się. Należycie prawo to rozumieją i przez wyćwiczenie się potrafią w każdym wypadku utrzymać je, wszyscy cyrkowi artyści, którzy zadziwiają nas swemi karkołomnemi sztukami. I rzeczywiście, tylko dzięki utrzymaniu równowagi; zdołał pewien śmiałek przejść po linie ponad wodospadem Niagary lub inny jeździć do góry nogami na rowerze w ogromnem drewnianem kole. Obecnie po nadzwyczaj niebezpiecznych produkcyach cyrkowej trupy japońskiej, popisują się różni cyrkowcy na samochodzie, który pędząc po pochyłości o zwróconym do góry końcu, wywraca w powietrzu koziołka i dopiero spada na ziemię. Wszystkich tych sztukmistrzów pobił jednak cyklista Vaissade, który zdobył istotny rekord w karkołomności. Produkcyę swoją odbywa nad wodą. Obecnie popisywał się wśród niezliczonych tłumów na Sekwanie. Jak wskazuje nasza rycina, wybudowano na rzece wysoki pomost, wznoszący się 20 metrów ponad poziom wody; długość tego pomostu jest bardzo nieznaczna, tak iż koło roweru może zrobić tylko jeden obrót, drugi odbywa się już w powietrzu i wtedy to następuje decydująca chwila. Cyklista przerzyna powietrze i jak na powierzchni ziemi musi utrzymać równowagę, tak i tutaj cała sztuka polega tylko na niej, przez kilka sekund musi utrzymać się w jednem położeniu, ani na milimetr nie zbaczając kierownicy. Przytomność umysłu i silne muskuły zdolne do utrzymania niejako całego ciężaru jeźdźca i roweru, stanowią o udaniu się eksperymentu. W tem położeniu, jak go widzimy na załączonej fotografii, musi spaść do wody, tak iż naprzód pierwsze koło zanurzy się, potem dopiero tylne i koła właśnie przerzynając wodę, zużywają na sobie cały jej opór, chroniąc w ten sposób jeźdźca. Rower więc w stosunku do wody musi tworzyć kąt prosty, zmniejszenie go powoduje upadek na płask, a więc niechybną śmierć. Jak więc widzimy jedynie utrzymanie równowagi decyduje o życiu lub śmierci cyklisty w tej napowietrznej jeździe.

Pomimo, iż sztuka cała polega na zachowaniu jednego tylko prawa fizycznego, które posiadamy od chwili stawiania pierwszych kroków na ziemi, żadnemu jednak z naszych Czytelników, a tembardziej Czytelniczek nie życzymy czynienia podobnych prób, nawet z mniejszej wysokości. Gdyby jednak kto się odważył na to, prosimy o przysłanie zdjęcia fotograficznego tego bohaterskiego czynu, z uwagą czy śmierć nastąpiła natychmiast, czy dopiero w kilka chwil potem.



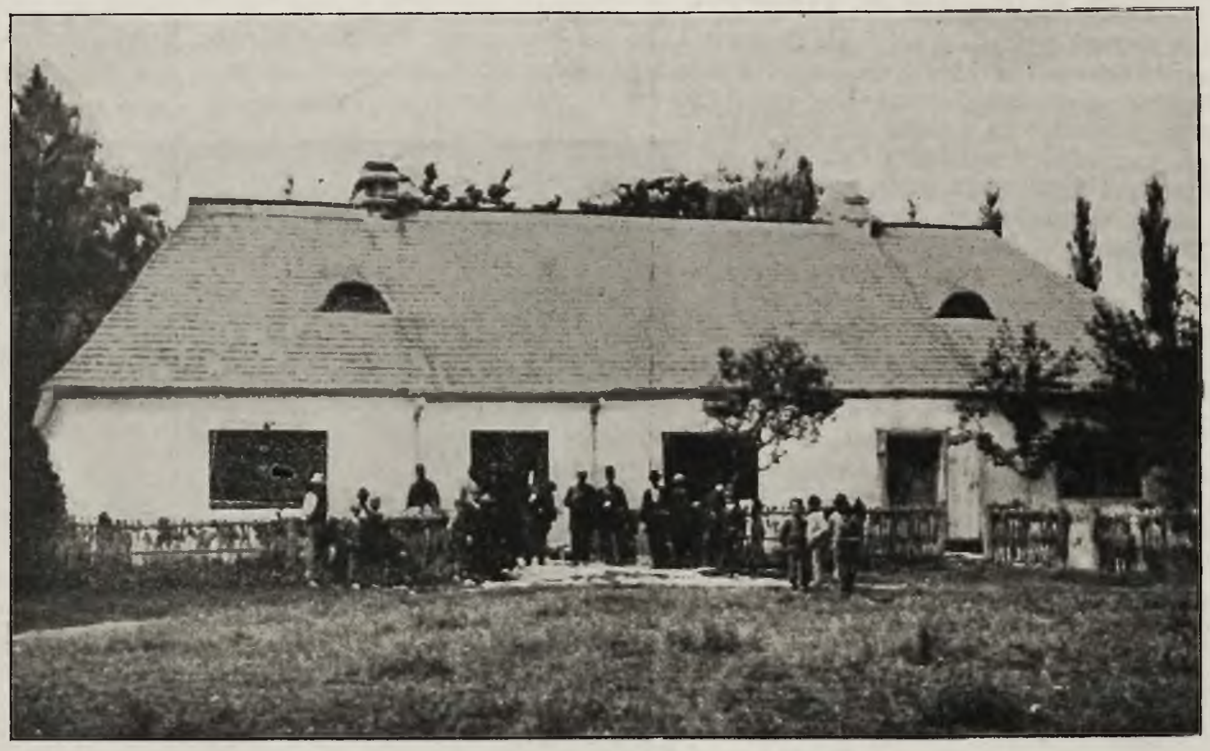
Jazda na rowerze w powietrzu: Szalony skok cyklisty do Sekwany z wysokości 20 metrów.



Związek teatrów i chórów włościańskich: Dyr. Tadeusz Pawlikowski, zastępca prezesa Związku.

Krwawy rabunek.

Widownią strasznej zbrodni była w nocy z soboty na niedzielę tego tygodnia miejscowość Gusztynek obok Skały nad Zbruczem, w dobrach byłego ministra hr. Gołuchowskiego. Znajdujący się



Fot. L. Grosse w Skale.
Krwawy rabunek: Dom p. Achselrada, gdzie rabunek został spełniony.

tam folwark dzierżawi zamożny człowiek p. Achselrad, wraz z dwoma synami. Na mieszkanie jego dokonali nieznani i niewyśledzeni dotąd złoczyńcy napadu, w nadziei zdobycia klejnotów i gotówki.

Krwawy ten wypadek przypomina żywo zbrodnie bandy rabusiów z pod Gródka Jagiellońskiego. Nie dość im było dostać się w posiadanie pokaźnej sumy pieniężnej, nie dość im było zrabować złoto i srebro, oni potrzebowali dla zaspokojenia swych zbrodniczych popędów rozlewu krwi niewinnej. A jeśli zbrodnia w Gusztynku nie przybrała większych rozmiarów, jeśli ofiarą padło tam tylko jedno życie ludzkie, to stało się to dzięki przypadkowemu zbiegowi okoliczności, iż rabusie zostali przed dokończeniem swego rozbójniczego dzieła spłoszeni.

Wedle nadeszłych stamtąd wiadomości, rabusie w liczbie siedmiu przybyli około 12 w nocy pod dom p. Achselrada. Dwóch pozostało na straży, reszta zaś wtargnęła tylnem oknem do wnętrza domu. Obznajomieni widocznie jak najdokładniej z rozkładem ubikacyj, udali się najpierw do pokoju, w którym nikt nie mieszkał. Szmer atoli przy wejściu ich powstały, obudził służącą, która tuż obok sypiała i mogła krzykiem zaalarmować domowników. Złoczyńcy zabezpieczyli się więc przed tą ewentualnością w ten sposób, że zagrozili służącej śmiercią, gdyby próbowała ich zdradzić.

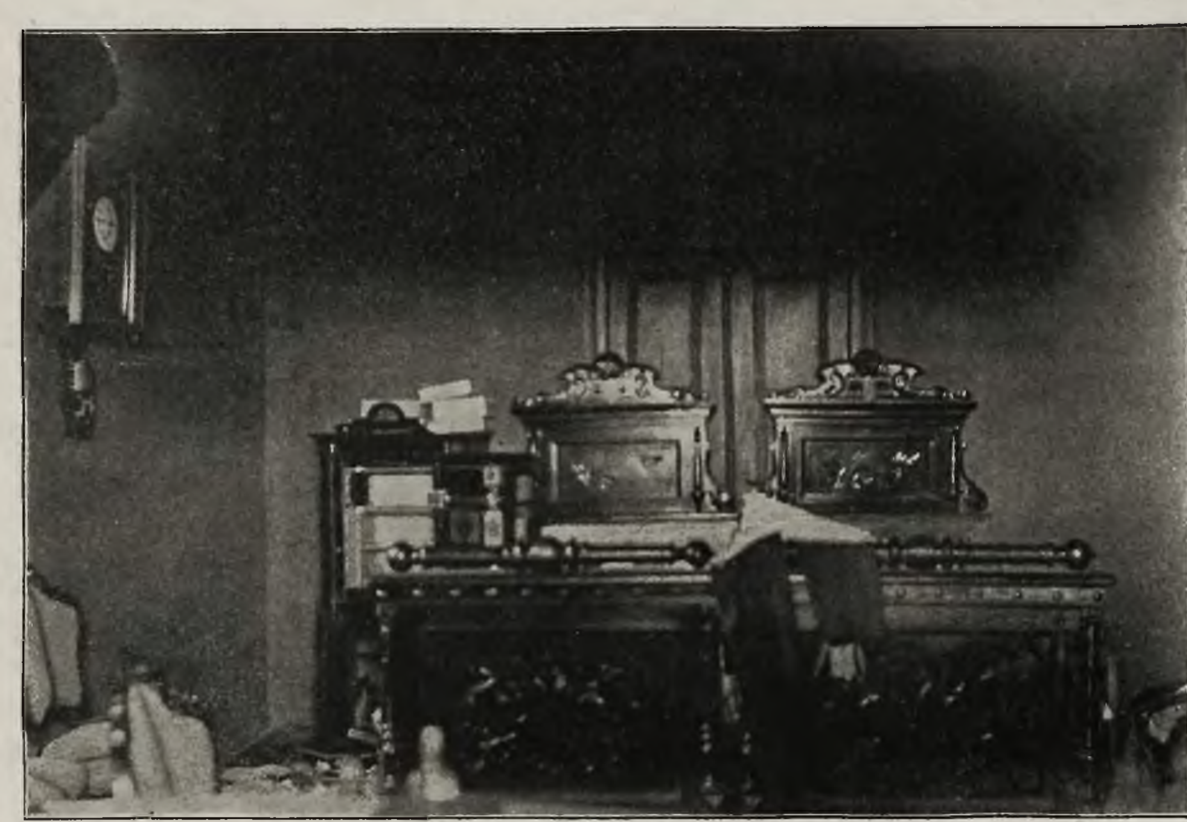
Następnie przez małą sień dostali się do sąsiedniego pokoju, w którym spał syn dzierżawcy, Salomon Achselrad. Zobaczywszy go, rzucili się rabusie na nieszczęśliwego z żelaznem jakiemś, tępem narzędziem i zadali mu tak silny cios w głowę, iż czaszka uległa rozbiciu, a krew obryzgała ściany pokoju. W tej chwili rozbudzony ze snu stary Achselrad wpadł do pokoju. Rabusie pochwycili go, ulegając jednak żałośnym prośbom jego o darowanie mu życia, za co przyrzekł oddać im wszystkie pieniądze w kasie przechowywane, zadowolili się tem i po otwarciu żelaznej, wertheimowskiej kasy zabrali z niej około 1600 koron w gotówce, nadto sporo przedmiotów złotych i srebrnych.

Rabusie wybierali się do mieszkania drugiego syna dzierżawcy Achselrada, w tej jednak chwili, kiedy próbowali wydobyć od ojca jakieś zeznania o majątku syna, otrzymali sygnał od swych towarzyszów, pozostawionych na dworze, że ktoś się zbliża; na odgłos sygnału rabusie rzucili się do ucieczki i wypadłszy przez okno znikli w cieniach nocy. Dalszy rabunek uniemożliwił złoczyńcom woźnica p. Achselrada, który właśnie nadjechał z okolicy na wózku; turkot z dali usłyszany wypłoszył rabusiów.

Wieść o dokonanym rabunku doszła wnet do żandarmeryi, która rozpoczęła niezwłocznie śledztwo. W ogrodzie, przez który rzezimieszki uciekali, znaleziono sporo pieniędzy, zgubionych w czasie ucieczki. Wezwano też natychmiast pomocy lekarskiej, p. Achselrad uległ bowiem wskutek przerażenia silnemu rozdrażnieniu nerwów, graniczącemu wprost z obłędem. Syn jego Salomon zmarł niemal na miejscu, otrzymawszy śmiertelny cios w głowę.



Fot. L. Grosse w Skale.
Krwawy rabunek: Tylna część domu p. Achselrada, wraz z oknem (X) którem rabusie wtargnęli do wnętrza



Fot. L. Grosse w Skale.
Krwawy rabunek: Wnętrze zrabowanego pokoju. Obok łóżek rozbita kasa

Choroba nerwowa, p. Achselrada utrudnia śledztwo, nie może on bowiem udzielić żadnych informacyj o osobach rzezimieszków.

Dotychczasowe wyniki tego śledztwa naprowadziły na ślad jednego z rzezimieszków, którego też uwięziono. Podejrzenie przeciw niemu opiera się na krwawych plamach na koszuli, których pochodzenia wyjaśnić nie umie; nadto nie może on wykazać swego alibi. Uwięziony jest mieszkańcem Gusztynka. Wedle innej wersyi rabunku w domu p. Achselrada dopuścili się obcy ludzie, prawdopodobnie z zaboru rosyjskiego, co jest o tyle możliwe, iż Gusztynek leży bardzo blisko od granicy austryacko-rosyjskiej.

* * *

Ryciny nasze przedstawiają dom p. Achselrada od frontu, jego tylną stronę wraz z oknem, przez które rabusie do wnętrza się dostali oraz pokój, gdzie mieści się kasa zrabowana wraz z sypialnią.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO
na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

33 Ciąg dalszy.

— Pytanie towarzysza jest zupełnie słuszne i sprawiedliwe — podniósł głos Porwa i nagle uciszyli się wszyscy — dla nas Polska i jej wolność są najważniejsze. Otóż na kilkakrotnych kongresach socyalistycznych stawialiśmy tę sprawę i socyaliści rosyjscy zobowiązali się poprzeć nasze żądanie szerokiej autonomii ze sejmem w Warszawie, któryby ogłosił swe prawa społeczno-ekonomiczne.

— Poprzeć?! — zadrwił ktoś — to są czcze słowa, pisane na bystrej wodzie!

— My nie chcemy sejmu szlacheckiego — zawołał inny — konstytuanta petersburska nada nowe formy społeczne.

— Precz z przywilejami! Nie chcemy Polski z burżujami i szlagonami! Niech żyje konstytuanta rosyjska!

— Za drzwi z moskalofilami!

Wszczął się gwar i hałas. Mała grupa esdeków stanęła zwarta na boku, gdy większość była pepeesowców i trochę bezpartyjnych w środku.

Porwa uderzył silnie dwukrotnie w stół, a gdy się cokolwiek uciszyło, mówił dalej:

— Moi panowie, poczynacie niewczesne spory. Rząd jest jeszcze silny i w niczem nie ustąpił. Zaledwie tyle uzyskano, że Witte, lis chytry i podstępny, został prezydentem ministrów... Co do mnie i partyi, do której należę, dużo zależy nam na dobrem porozumieniu się z rosyjską partyą rewolucyjną, co nam nie przeszkadza, że ani na chwilę nie przypuszczamy, aby nam ta lub owa partya, czy stronnictwo zrobiło pewnego dnia podarunek w rodzaju wolności i swobody Polski. Nikt z dobrej woli i ochoty nie wyzbywa się władzy i posiadania, tylko pod przymusem, pod siłą i my musimy wywalczyć sami naszą wolność, a jeśli dziś łączymy się z rosyjską partyją rewolucyjną, to jedynie dlatego, że ona musi szukać sprzymierzeńców i że ona w społeczeństwie rosyjskiem przedstawia ten odłam, który za okazaną pomoc może nam dopomódz — do odzyskania naszej wolności. W polityce niema szlachetnych i bezinteresownych ofiar, braterstwa pełnego poświęcenia, podarunków z miłości... jest prosty rachunek, streszczający się w słowach: tyle ci dam, ile ty mi dasz. Z tego powodu my musimy nieustannie stać na straży naszych interesów i nie wolno nam iść na oślep za rewolucyą rosyjską, słuchać bezwarunkowo jej rozkazów, szafować krwią i życiem z jej poleceń. Nasi delegaci spełnią na dziś swój obowiązek, gdy pozyskają podstawę ogólnej wolności państwa, a jak się później ukształtują nasze stosunki do Rosyi, jest kwestyą naszych sił i energii. Nie sądźcie, że wolna Polska powstanie za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, czeka nas długa walka i ciężka praca. Dziś jesteśmy bliscy jednej rzeczy, pogrzebaliśmy podłą konstytucyę Bułygina a nową pozyskamy; jaką będzie ona, nie wiemy jeszcze, lecz w najlepszym razie będzie zwołana konstytuanta.

Gdy się uciszono cokolwiek i Porwa odsunął się na bok, przystąpił do stolika szczupły, średniego wzrostu brunet, poprawił binokle, przygładził krótko ściętą brodę i zaczął z uśmiechem sarkastycznym.

— Poprzedni mowca, o ile wywnioskowałem, należy do dziwnego tworu, zwanego socyalpatryotami. Ni pies, ni wydra, ani to socyalista, ani patryota narodowiec. On chce Polski — zaśmiał się drwiąco — jakiej Polski? Szlacheckiej? burżuazyjnej? chłopskiej? Tego nam nie określił. On chce Polski, ale my jej nie chcemy!

— Milczeć! Za drzwi!... Precz!...

— Każdy ma głos!... Kto nie chce słuchać, niech się wynosi!... Wolny głos!... Żadnego terroru!..

— Mówcie dalej — zawołał Porwa — pozwólcie panowie wygadać się temu panu.

Po słowach Porwy, lubianego powszechnie, ci i owi umilkli, słychać było tylko głuche pomruki, a mowca ciągnął dalej:

— My, socyaliści prawdziwi, walczymy z despotyzmem i z rządem, czy będzie on rosyjski, niemiecki czy polski, a równocześnie walczymy o prawa ekonomiczne i nie spoczniemy, póki nie wytworzymy ustroju socyalistycznego. My socyaliści poczuwamy się do braterstwa międzynarodowego i wiemy i wierzymy, że skoro w Rosyi zwyciężą socyaliści, oni bez żadnych paktów i żądań z naszej strony podzielą się z nami uzyskaną dla siebie swobodą polityczną i społeczną. Dlatego idziemy z nimi razem, ręka w rękę, bez żadnych zastrzeżeń, targów, handlów. Polityka pepeesowców jest polityką kramarską, niegodną braterstwa socyalistów, niegodną naszego hasła: „proletaryusze wszystkich krajów łączcie się!“ Z tego powodu stawiam wniosek, aby zgromadzenie wyraziło swą wzgardę tej kramarsko-polskiej polityce. Hańba im! Hańba!

Wszczął się piekielny gwar; co gorętsi porwali się już za bary, podniosły się krzesła, zaciskały się pięści i już, już miało przyjść do bójki, gdy nagle wskoczył na stół Wicher i krzyknął:

— A głupi wy!... To póki o wskrzeszeniu Polski była rada, o dobru pospolitem, głupi, u was zwada!... Rząd żyje, a wy toczycie słowne spory! Uciszcie się!... Są nowe depesze! — wyjął z kieszeni i czytał: — Petersburg, z wyjątkiem linii Petersburg-Moskwa i Petersburg-Warszawa odcięty. W Moskwie, w Charkowie, w Odessie strejk powszechny, jutro prawdopodobnie w Petersburgu... Tyle depesza... Otóż moi panowie jutro zaczyna strejk Nadwiślańska — a wieczorem napewno linia Petersburgska i prawdopodobnie Wiedeńska. Więc pierwszym waszym obowiązkiem jest dotrzymanie naszych zobowiązań względem partyi russkiej. Następnie starajmy się o strejk powszechny w samej Warszawie. Precz z kłótniami! Niech żyje strejk!

— Niech żyje!... Niech żyje! — zachuczało w sali, i na tem skończyło się zgromadzenie kolejarzy.

Na drugi dzień stanęła kolej Nadwiślańska od rana, a Petersburska od południa.

Zamiast przygnębienia, opanowała miasto dziwna otucha i wiara w lepszą przyszłość.

Hotele, zajazdy, miejsca publiczne były zapełnione publicznością przejezdną, którą strejk przychwycił w Warszawie. Żadnych listów, gazet, wiadomości nie było z głębi Rosyi, jedynie do dzienników dochodziły depesze przez Szwecyę i wszystkie brzmiały złowrogo dla rządu.

Patrole piesze i konne zaroiły się na wszystkich ulicach Warszawy, przeciągały nawet armaty z głuchym łomotem i szczękaniem jaszczyków, lecz, rzecz dziwna, i piechota i konnica i artylerya, nawet żandarmi i policyanci szli ospali, leniwi, niepewni i nie zwracali uwagi na publiczność, co raz liczniej gromadzącą się na ulicach i placach.

Nie było ani manifestacyj, ani śpiewów ni okrzyków, ani strzałów ni zamachów, ludność była spokojna, cicha, zaprzestała jedynie pracy.

Zjawił się nowy rząd bez nazwy, bez osób, bez żadnych oznak, a jednak tak potężny i pewny siebie, że wyszeptane rozkazy spełniano bez wahania co do minuty i sekundy.

— Od południa tramwaje stoją! — z ust do ust przebiegła wieść... i gdy nastało południe, ani jeden tramwaj nie zjawił się na ulicy, co nikogo ani dziwiło, ani zastanawiało.

Ludzie znaleźli łatwo wyjaśnienie.

— Wydano taki rozkaz — ale kto? kiedy? dlaczego? — o to się nie troszczono.

— Od szóstej przestają kursować dorożki po ulicach!

I widziano jadących Marszałkowską na dworzec wiedeński z kuframi, pudełkami, paczkami... i nagle dorożkarz na kilkadziesiąt kroków przed dworcem staje na ulicy.

— Co tam? Jedźcie!

— Kiedy nie wolno.

— Ależ tylko do dworca.

— Jak nie wolno, to nie wolno.. proszę wysiadać, jadę do domu.

Tajemniczy rząd nakazał zamknięcie sklepów i widowisk publicznych.

Usłuchano. I cała Warszawa przybrała natychmiast jakiś pozór odświętny. Tłumy wylegly na ulice, a z twarzy, z ruchów, z tonu słów czuć było naprężone wyczekiwanie niezwykłych rzeczy i zjawisk.

Jedna, jedyna kolej warszawsko-wiedeńska nie zastanowiła ruchu, co wzbudzało ogólne zdziwienie i niepokój, jak skończy się strejk kolejowy, gdy jedna z najważniejszych linij rosyjskich funkcyonuje.

Nad ranem przyszła depesza do Porwy, że linia Moskwa-Petersburg stanęła i już przed południem rozbiegła się wieść po Warszawie, że od południa staje kolej warszawsko-wiedeńska.

Równocześnie zastrejkowali urzędnicy poczty, telegrafów i telefonów.

I miasto oniemiało, ogłuchło.

Żadnych dorożek, tramwajów, kolei, poczty, telegrafów, telefonów, ani kupców ni kupujących; lecz zamiast martwej ciszy poszum gwaru i ruchu ludności... i to gorączkowe wyczekiwanie czegoś nadzwyczajnego.

Tak minął jeden dzień, drugi, trzeci... i nagle wieczorem przyszła depesza:

— Konstytucya!

I miasto pozbyło się duszącej go zmory, odetchnęło.

Na wszystkich rogach rozlepiono odezwę do narodu, że rozkazano dać:

— Niezachwiane podstawy praw obywatelskich, oparte na rzeczywistej nietykalności osoby, wolności wyznania i słowa, wolności stowarzyszeń i zgromadzeń. Powszechne prawo głosowania do dumy i żadna ustawa nie może otrzymać mocy bez zgody dumy państwowej.

Zwycięstwo na całej linii.

I jak wiosenna woda nagle kruszy, łamie, rwie, unosi, rozsadza lody zimowe, tak porwał się cały lud pod słońcem wolności. Ze wszystkich zakątków ciemnic, zaułków, od wilgotnych suteren do poddaszy wypłynęła olbrzymia fala ludu i po raz pierwszy od stu lat zaczerpnęła w stęsknione piersi świeży powiew wolności!

Nawet słońce, zwykle o tej porze posępne i chmurne, niebo zwykle mgliste i deszczowe, w owe dnie wolności i pierwszych drgnień swobody, jaśniały pogodą i weselem.

Pierwszy listopada był to najpiękniejszy i chyba jedyny dzień tryumfu.

Ta rozbrzmiewająca wolność polityczna i społeczna, ta słoneczna swoboda słowa i przekonań, to tryumf.

I jako zwycięscy wylegli na ulice i place, piersi ich wezbrały dumą i tryumfem, szczęściem i wiarą w przyszłość jasną i świetlaną.

A wszystkie ich marzenia, pragnienia, dążenia i ideały, udzielane sobie dotychczas szeptem pod groźą kary i śmierci, teraz parły do słońca, do światła, do głośnego życia.

Na każdym zakręcie, na każdej przecznicy stawali przygodni mówcy i czynili wyznanie swojej wiary, głosili swe przekonania, szukali współwyznawców.

Oszołomione tym wybuchem wolnościowym wojsko, słuchało przemówień, bratało się z rozradowanym ludem.

Najgłośniej i najbezczelniej występowali i wrzeszczeli bundziści, chcąc tem niesfornem zachowaniem się wpoić innym przekonanie, że oni jedni i jedyni wywołali ten przewrot, że chwała i sława tylko im się należy i oni są chorążami wolności i swobody.

Z brudnych, cuchnących, wstrętnych zaułków, wypełzła ta czarna masa żydowstwa, podobna do ławicy karaluchów pasożytniczych i rozlała się po mieście wrzaskliwa, brudna, narzucająca się i bezczelna.

Logika, Porwa i Kola spotkali tę mrowiącą się czerń na ul. Marszałkowskiej.

Na czele szedł młody żydziak z czerwoną chorągwią a towarzysze jego co kilka chwil wykrzykiwali:

— Hoch Bund! Hoch rewolucya!

Przy rogu Siennej jeden z żydów wskoczył na ławkę stróża i przemawiał po rosyjsku:

— ...Już minął czas niewoli, czas, gdy nas łżono i kopano, teraz jest konstytucya! Słyszycie!? A kto zrobił ją? To my bundziści i rewolucya! Teraz dla nas cała Rosya otwarta, wszystko nam wolno i nie ma różnicy między ruskim człowiekiem a nami. Jedni tylko Polacy nie chcą łączyć się z nami i ruskimi; oni chcą przywilejów, chcą swego kraju, swego sejmu, swego króla, ale my na to nie pozwolimy. Precz z Polakami! precz z Polską! Niech ona ginie i przepada, albo niech się rozpłynie w naszej ruskiej rewolucyi, albo niech ślad jej zaginie na ruskiej, na naszej ziemi. Hoch Bund!... Precz z Polską!

Okrzyk ten powtórzyli słuchacze z entuzyazmem, z chlipaniem ociekającej śliny, z łypaniem ciężkich powiek.

W tej chwili od strony ul. Moniuszki nadciągnęła grupa niewielka chłopaków i dziewcząt, niosąc sztandar z białym orłem.

— Polaki!... Szowiniści!... Narodowcy!... Świnie polskie!

A że to były dzieci, znalazł się wnet odważny bundzista, który poskoczył do niosącego sztandar z białym orłem, zerwał go i deptał, krzycząc z tryumfem:

— Do błota z tą szmatą!

Inni odważni bundziści poczęli zrywać dzieciom

konfederatki z głowy, plwać na nie, drzeć, deptać i bić broniące się dzieci.

Logika, Porwa i Kola poskoczyli z obroną, odtrącili co zajadlejszych bundzistów, a że z ulic napływali chrześcijanie, tłuszcza żydowska zwołała się, skupiła i ruszyła dalej w górę Marszałkowskiej.

— To wstrętne! To oburzające! — zawołała Logika, uspokajając przerażone dzieci.

— To reakcya po wiekowej niewoli — tłómaczył Kola.

— Mylicie się — rzekł Porwa — to zwykły objaw separatyzmu rasowo-religijnego. Żydom się zdaje, że my słabi i złamani, więc nas depczą i plwają na nas.

— I co im Polska złego zrobiła — mówiła z goryczą Logika — co im zawiniły te dzieci i konfederatki!?

— Dla mnie to objaw naturalny — odezwał się Porwa, gdy znów szli razem w kierunku dworca wiedeńskiego — my bronimy naszej narodowości i kultury, tworząc całość odrębną, oni ze swym separatyzmem wyznaniowym i rasowym nie mogą się pogodzić z naszym indywidualizmem. I stąd ich nienawiść i dążenie do zerwania jedności narodowej.

— A jednak Rosyan wielbią — dorzuciła Logika — mimo pogromów i surowych praw antiżydowskich.

— Najpierw Rosya jest silna, a żydzi łączą się tylko ze silnymi, a następnie, przy szerokim, międzynarodowym socyaliźmie rosyjskim — żydzi mają wszystko do zyskania, a nic do stracenia...

— To jednak jest podły naród — mruknął Kola.

— Nie tyle może podły, ile nieszczęśliwy, gdyż jest bez ziemi, bez języka, a tkwi w bezdusznych, zastygłych więzach formułek wyznaniowych. Lecz my musimy się bronić, bo ich wolność objawia się deptaniem naszej narodowości.

Co chwila spotykali większe lub mniejsze grupy ludzi ze sztandarami czerwonymi, na których widniały wielkie, białe litery: P. P. S. lub S. D. K. P. i L. Pierwsze należały do polskiej partyi socyalistycznej, drugie do socyalnej demokracyi Król. Pol. i Litwy. Przygodni mówcy prawili do tłumów przeciągających, wysławiając zasługi, zalety i zasady swej partyi, a każde przemówienie kończyło się okrzykiem: „Niech żyje polska partya socyalistyczna!“, lub „Niech żyje socyalna demokracya!“

Śpiewy nie ustawały; jedni szli przy odgłosie pieśni „Czerwonego Sztandaru“, inni przy „Warszawiance“, a znów inni przy pieśni „Gdy naród do boju...“! Jedni tylko bundziści nie mieli swej własnej pieśni i posiłkowali się najczęściej rosyjską.

Na placu przed dworcem w Alejach Jerozolimskich roiło się od robotników i czerwonych sztandarów, lecz im bliżej ku Nowemu Światu — ilość sztandarów czerwonych zmniejszała się, a zamiast robotników tłum składał się ze zwykłej przeciętnej publiczności. Na rogu Brackiej, stojąc na murze, okalającym wydział komunikacyi, jakiś esdek z czerwonym sztandarem w ręku przemawiał:

— ...Kto zwyciężył rząd? kto zmusił go do dania konstytucyi? kto obalił rządy biurokracyi? Tylko my socyalni demokraci, złączeni braterskim węzłem ze socyalną demokracyą Rosyi! Nasze hasła obaliły despotyzm i nas poparła cała odrodzona Rosya, wszyscy pracownicy i robotnicy bez różnicy wyznania i narodowości, bo wiedzą, że dążymy do wytworzenia z Rosyi olbrzymiego państwa socyalistycznego bez różnicy wiary i narodowości. Odrzucamy jako strzępy i szmaty zabytki dawnej głupoty i niewoli burżuazyjnej i szlacheckiej, owe podziały narodowościowe, wymyślone na to, aby robotnicy mordowali się wzajemnie. Proletaryusze wszystkich krajów łączcie się — odrzućcie precz wszelkie różnice, wszystko, co mogłoby nas dzielić!...

W tej chwili wielka fala ludu z ogromną większością inteligencyi, przesuwała się Nowym Światem w kierunku Krakowskiego Przedmieścia. Szli ze sztandarem białego orła a z tysiąca piersi płynęła pieśń: „Boże, coś Polskę“.

Ta pieśń od tylu dziesiątków lat nie śpiewana w Warszawie, płynęła tak hucznie, tak tryumfalnie, tak imponująco, że wszystkie inne pieśni zagłuszyła. Czuć było, że to pieśń serca, miłości, ofiary i nadziei całego narodu i każdego Polaka...

Odsłoniły się głowy bezwiednym ruchem — a pieśń tak zatargała uczuciem, że z oczu wielu łzy płynęły i ogromna większość słuchaczy esdeka poszła za narodowym pochodem.

Do pozostałej garstki, wśród której byli Logika, Porwa i Kola, esdek zaczerwieniony, wywijając swym sztandarem, mówił:

— ...Oto macie przed sobą przykład separatyzmu narodowego. Ci ludzie bez serca, bez ducha, chcą napowrót wtłoczyć lud pracujący w ohydną niewolę burżujów i kapitalistów... chcą ssać krew robotników! Im zachciewa się Polski, aby gnębić i wyzyskiwać ludzi pracy, chcą ustalić panowanie kleru i szlachty: oni idą pod sztandarem z „białą gęsią!“ To są podli tchórze, kajdaniarze, którzy wyzyskują wywalczoną przez nas wolność. Hańba im! Tysiąc razy hańba! I towarzysze wznieśmy



...Do błota z tą szmatą!

okrzyk: „Precz z „białą gęsią...“! Precz z Polską!“

Kilka głosów oderwanych coś krzyknęło niewyraźnego, a Porwa zawołał:

— Towarzyszu, zbłaźniliście się! Orzeł biały zawsze płynął ponad trony i zawsze walczył o wolność naszą i waszą.

— Burżuj! Pijawka! Na latarnię z nim! — wrzeszczał esdek, ale słuchacze stali spokojnie, z uśmiechem drwiącym.

Logika, która na początku mowy esdeka poczuwała się do partyjnej z nim łączności i zatrzymała się, aby go wysłuchać, teraz idąc z Porwą i Kolą Bracką w stronę Placu Wareckiego, chcąc zatrzeć niemiłe wrażenie końcowe, rzekła:

— Wiecie Porwa, ten esdek to wyjątek, to szowinista socyalny. My przecież szanujemy cudze przekonania polityczne, o ile nie występują wrogo przeciw naszym zasadom.

— Mylicie się towarzyszko — uśmiechnnął się Porwa — on był tylko brutalnie szczerym, ale jest typowym esdekiem. Gdy raz głosicie międzynarodowość, musicie dążyć do zniszczenia wszelkich objawów narodowościowych. To konieczność logiczna.

— Słuchajcie Porwa — przemówił Kola — wy Polacy jesteście wyszkoleni na tradycyach parlamentarnych, gdy mogliście tak spokojnie słuchać tego esdeka. Gdyby u nas rzucił się ktoś tak na Rosyę, jako naród, jak on na Polskę, rozdarto by go w kawałki.

— Nie bierzcie Kola tego tak tragicznie — uśmiechnęła się Logika — to wyjątek. Każdy polski esdek czuje się Polakiem i chce Polski socyalno-demokratycznej.

— Złudzenie — zaśmiał się Porwa. — Może wy, Figura i kilka dziesiątków inteligencyi godzą Polskę ze socyalną-demokracyą, ale nie tłum, nie robotnicy, nie półinteligentni. Dla nich międzynarodówka znaczy zagładę narodowości, wyrzeczenie się polskości.

Przez ulicę Zgoda przyszli ku Filharmonii. Tu był znów wielki tłok ludzi, a na schodach Filharmonii mówcy zmieniali się kolejno i przemówienia nie ustawały.

Właśnie przemawiał pepeesowiec i kończył:

— ...Żądamy polskiej administracyi, polskiego sądownictwa, polskiego sejmu z prawem ustawodawczem. Nasz sejm wybrany na zasadzie powszechnego, równego, tajnego głosowania, przeprowadzi sprawę robotniczą ludu polskiego. Wybierzemy go pod naszem hasłem polskiej partyi socyalistycznej. Niech żyje P. P. S.!

Towarzysze partyjni zawołali gromko: „Niech żyje!“ — ale nie brakło protestów, sykań, gwizdów... i tuż zaczął esdek, jak widać było ze sztandaru obok wzniesionego. Był to robotnik barczysty, silny, lat około 40-stu.

Zaczął od wydrwiwania polskiej partyi socyalistycznej, która w odbudowaniu Polski widzi zbawienie, a jego zdaniem:

— ...Odbudowanie Polski jest niemożliwem i żaden uczciwy robotnik nie może przyłożyć ręki do tej zbrodniczej pracy, gdyż własną ręką kręciłby bat na siebie, a polski bat będzie bolał tak samo, jak rosyjski. My musimy dążyć do zniesienia kapitalizmu, a największą podporą kapitalizmu jest narodowość. Ona przechowuje wszystkie zabytki niewoli, kary cielesne, poddaństwo, różnice urodzenia i pochodzenia, różnice majątku i stanowiska. Narodowość jest tym złodziejem, który powiada: to moja ziemia, to moja granica! A ziemia należy do wszystkich ludzi, czy to Rosyanin, żyd, Niemiec, każdy ma prawo do ziemi, do powietrza, do słońca. Nie chcemy żadnej narodowości, więc: precz z Polską! Myśmy krwią naszą wywalczyli dzisiejszą wolność, a teraz burżuje przychodzą i wrzeszczą: „Niech żyje Polska!“ Hańba im! Hańba! My socyaliści, a nie żadne głupie Polaki. Precz z Polską!

Powtórzono dość głośno ten okrzyk i natychmiast zjawił się drugi mowca łysawy, z krótką brodą, w eleganckim tużurku i zaczął z drwiącym uśmiechem:

— Socyalpatryoci obiecują sobie złote góry z odbudowania Polski i nie rozumieją, że są tylko sługami i podnóżkami narodowej demokracyi. Obydwa stronnictwa wzdychają do jednego i modlą się: „Boże, zbaw Polskę“. Jest to ich niezmierzona głupota. Jeszcze można zrozumieć narodową demokracyę, złożoną z wyrzutków społecznych, podłych burżujów, wyzyskujących kapitalistów, ale aby jakikolwiek socyalista chciał Polski, to jest piramidalnie głupie, nie do uwierzenia, a jednak prawdziwe. My chcemy iść ręka w rękę z Rosyą, konstytuanta rosyjska da nam prawa i porządki społeczne. Dla mnie państwo rosyjskie to pociąg olbrzymi kolei żelaznej, a konstytuanta jest w tym pociągu maszynistą, my zaś na równi z innymi ludami jesteśmy pasażerami i siedzimy w wagonie. Jeśli każdy wagon zechce iść po swoich relsach, mieć swoją maszynę, cały pociąg wezmą dyabli. Otóż dlatego, że my chcemy jechać, nie wolno nikomu wyłamywać się z pociągu, nie wolno mieć separatnych maszyn, oddzielnych relsów. Jedna maszyna konstytuanta, jeden pociąg to wolna i socyalistyczna Rosya.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zaborczość Japończyków.

Gwałt, jakiego dopuścili się Japończycy na Korei, przeszedł bez żadnego silniejszego echa w Europie. Po dawnemu siła zapanowała nad sprawiedliwością,



Zaborczość Japończyków: Ji-Czenk, nowy cesarz koreański.

w obronie uciśnionych nie odezwał się żaden głos. Z samodzielnego państwa Korei, uczyniła Japonia swoją prowincyę, wzmacniając przez to swe stanowisko piewszorzędnego państwa, w istocie jednak wzbudziła sobie wroga, który w nowej wojnie łatwo może przechylić szalę zwycięstwa na stronę przeciwnika Japonii.

Z pomiędzy innych narodów azyatyckich Korea wyróżniała się zawsze łagodnością swoich obyczajów, patryarchalnym trybem życia, jaki wiodą jej mieszkańcy. Ludność, zajmująca się przeważnie rolnictwem, nie miała w sobie nigdy instynktów zaborczych, a przez to nie rozwijała i swej siły wojennej, nic też dziwnego, iż zawsze była w niejakiej zależności od mocniejszych sąsiadów. Przez długi czas, zachowując zawsze swą niezależność, płaciła Korea haracz Chinom, od którego dopiero uwolniła się przez wejście w stosunki handlowe z mocarstwami europejskiemi. Wtedy zarazem wzbudził się w Korei silny prąd reformatowski, który jednak znalazł i energicznych w kraju przeciwników, tak iż utworzyły się dwie wrogie, walczące z sobą partye. Z zamieszek, jakie stąd powstały, skorzystała zaraz Japonia, znajdując w Korei doskonały zbyt dla swojego przemysłu i pole do rozwinięcia swej zaborczości. Z tego powodu wywiązała się nawet wojna z Chinami, roszczącemi sobie dawne prawa do Korei, niestety Japonia została zwycięscą i na dobre osiadła w zajmowanym wówczas kraju. W ręce swoje zagarnęła zupełne rządy, cesarzowi pozostawiając niejako tytuł tylko; armię koreańską zredukowała do czterech tysięcy zaledwie, tak iż sami przedstawiają jej siłę wojenną.

Zmuszony do abdykacyi, czyli raczej zdetronizowany „cesarz Ji-Heng, o którym niedawno pisaliśmy, zapragnął uchylić się od tej niebezpiecznej opieki japońskiej, lecz dla braku wojska nie mógł stawić oporu Japonii, szukał więc pomocy w Europie, która jednakże głuchą się okazała na jego prośby. Ji-Heng musiał tedy ustąpić, a na prastary tron koreański wstąpił syn jego, Ji-Czenk. Nowy ten monarcha, w przeciwieństwie do swego ojca, jest zwolennikiem cywilizacyi europejskiej, na wzór której chce przekształcić ustrój swego państwa, niestety rola jego jako panującego sprowadzoną jest do zera, bo istotne rządy sprawuje wicehrabia Hajaszi, reprezentant Japonii.

Samo zdetronizowanie starego cesarza nie tak wiele wymagało zachodów, natomiast daleko trudniej dają sobie radę Japończycy z ludnością koreańską, która wystąpiła w obronie swej wolności.

Prawie, że dzień po dniu w Seulu stolicy państwa, odbywają się krwawe utarczki tak z mieszkańcami, jak i resztkami armii koreańskiej, której rozbrojenia postanowiła dokonać Japonia. Dowódzcy wojska, nie mogąc znieść hańby, iż musieliby przejść na żołd zaborczego państwa, często popełniają samobójstwa, co doprowadza żołnierzy do takiego rozdrażnienia, iż rzucają się na oficerów japońskich, lub też, zachowując broń, uchodzą w głąb kraju, by pobudzić lud do powstania. Seul przedstawia obecnie jakby jedno obozowisko, z rozstawionemi na placach i u wylotów ulic armatami i kartaczownicami, z których pociski wpadają i do poselstw europejskich. Japonia sprowadza co raz to nowe oddziały swych wojsk, gdyż dotychczasowa załoga nie wystarcza im do pokojowego zagrabienia cudzej ziemi. A jednak pomimo ciągłych wieści z Korei o coraz to nowych walkach, Japonia wysyła w świat urzędowne komunikaty, iż „wszystko w porządku“, czemu mocarstwa europejskie przynajmniej na pozór zdają się dawać wiarę.

* * *

Ryciny nasze przedstawiają nowego cesarza koreańskiego, Ji-Czenka, głównodowodzącego armią koreańską w otoczeniu swego sztabu, oraz i sceny życia ulicznego: przekupnia jak przyrządza potrawę z ryżu na ulicy i europejczyka z eskortą mieszkańców Korei.



Zaborczość Japończyków: Koreański generał (X) w otoczeniu sztabu.

Zapasy kobiet w Wiedniu.

Do niedawna kobiety stawały tylko do konkursów piękności i tą pięknością, jej czarem i urokiem pobijały pod swe panowanie świat cały. Siłą swych wdzięków były w stanie pokonać największych mocarzów i siłaczów, jak tego wiecznym przykładem będzie Dalila, ze spoczywającym u drobnych jej stóp Samsonem, były w stanie opanować najtęższe umysły i poddać pod swe wyłączne rządy.

Ale czasy się zmieniają. Kobiety w konsekwentnej, zaciętej walce z płcią męską starają się dorównać jej nietylko siłą umysłową ale i siłą muskułów. Pojawiły się kobiety-atletki! I walczą ze sobą zawzięcie, namiętnie, co dziwniejsza, — wedle prawideł i zasad szkoły zapaśniczej, a co najdziwniejsza, — w zupełnem milczeniu i ciszy. Walczą o honor i nagrodę pieniężną.

Obecnie zapasy kobiet-atletek odbywają się w Praterze wiedeńskim. Wiadomo powszechnie, że poczciwi Wiedeńczycy lubują się w tego rodzaju sporcie. A jeśli rozkosz im sprawiał widok mężczyzn, tarzających się na arenie, widok najrozmaitszych chwytów i rzutów, to o ileż milszym i rozkoszniejszym jest im widok zmagających się w zaciekłej walce kobiet, odzianych w lekkie, powiewne, jedwabne bluzki, mocno dekoltowane i w obcisłe trykoty.

A przecie walk tych na seryo brać nie można. Wszak okazało się, że zapasy mężczyzn-atletów, urządzane przy takim nakładzie reklamy i pozy, są najzwyczajniejszym humbugiem, że każde zwycięstwo i każda klęska jest z góry umówioną, a nagrody idą do wspólnego podziału. Cóż dopiero zapasy kobiet! Można je chyba traktować jako interesujące przedstawienie, interesujące o tyle, o ile „zapaśniczki“ są przystojne. A że siłaczki, popisujące się obecnie w Wiedniu, są istotnie wcale piękne i budową zgrabną, oraz regularnością rysów prawie wszystkie się odznaczają, więc nic dziwnego, że sala na każdem przedstawieniu szczelnie zapełniona, że oklaski i brawa nie milkną całemi godzinami.

W skład produkującej się we Wiedniu trupy atletek wchodzą kobiety najrozmaitszych narodowości. Nie brak między nimi i Polki. Znajduje się tam mianowicie panna Piotrowska i należy do pierwszorzędnych „artystek“. Bardziej egzotycznem zjawiskiem jest między atletkami murzynka. Przeciwniczka tem groźniejsza, że ma śliczne, bialutkie ale i bardzo silne zęby.

Dotychczas jednak, ani ona, ani żadna inna z atletek nie popełniła nieformalności, jakąby niewątpliwie było n. p. użycie zębów lub szarpanie za ufryzowane włosy. Wszystko odbywa się według reguł i wedle programu. Bo takie „wykształcone“ zapaśniczki umieją panować nad swymi zmysłami i nad swym temperamentem.

Jak wyglądają pasujące się ze sobą kobiety, jak odbywają się ich walki, przedstawiają trzy podane w dzisiejszym numerze ryciny.

Wyścig samochodów Pekin-Paryż.

W jednym z poprzednich numerów pisaliśmy o niebywałym wyścigu samochodów, jakiego postanowiono dokonać na przestrzeni z Pekinu do Paryża. Przy powstaniu tego projektu podnosiły się



Zaborczość Japończyków: Koeańczyk przygotowujący na ulicy potrawę z ryżu.

głosy bardzo sceptyczne, iż jest to zamiar ponad miarę, tak ze względu na wytrzymałość samochodów, jak i siły ludzkie, a jednak to, co przed miesiącem było niepodobieństwem, dzisiaj stało się rzeczywistością. Bohater tego wyścigu, zwycięsca



Zaborczość Japończyków: Podróżnik (X) europejski eskortowany przez Koreańczyków.

ks. Scypion
chaniu 12 t
Odpowie
bezpiecznej podróży pozwoliło na dokonanie jej swobodnie, bez najmniejszego wypadku. Samochody,



Fot. F. Fischer Wiedeń.
Zapasy kobiet w Wiedniu: Atletki walczące ze sobą na arenie.

biorące udział w tym wyścigu, nie były wycieczkowymi, jakie spotykamy często w mieście, lecz budowy daleko silniejszej, przystosowanej do swego celu. Samochód „Itala“, na którym jechał ks. Borghese jest cały opancerzony, t. j. pokryty w zupełności stalowemi płytami i posiada tylko trzy miejsca i dość obszerną platformę z tyłu na bagaż. Jechali na nim ks. Borghese, który i kierował samochodem, Luigi Barzini, korespondent włoskiego *Coriere della sera* i angielskiego *Daily Telegraph'u* i palacz Guiziardi. Zupełne opancerzenie samochodu nadzwyczaj ułatwiło podróż, bo cały jego mechanizm był przez to szczelnie pokryty i nie ulegał tak łatwo zepsuciu, a jednak pomimo to z powodu nadzwyczaj nierównego i górzystego

musiano go w drodze często naprawiać. „Itala“ posiada motor o sile 40 koni, było ks. Borghese wyprzedzić o dwa tyetrów swych słabszych współzawodników. Dwa następne francuskie samochody, pochodzące z firmy Dion Bouton, mają motory o sile tylko 10 koni, a przytem i na zewnątrz nie wyglądają tak silnie, jak „Itala“; zbliżone są bardzo do ogólnego typu samochodów. Najdalej pozostający w tyle, a jednak silniejszy od poprzednich jest holenderski „Spyker“, przedstawiający siłę 16 koni. Częściej niż inne ulegał on znacznym uszkodzeniom, tak iż na naprawę jego tracono nawet po 18 dni, co nie przedstawia jednak nic dziwnego, gdy się zważy, iż musiano naprawiać samochody w okolicach, gdzie o nich słuch jeszcze nie dotarł. Przytem gdy „Spyker“ zepsuł się w drodze i trzeba było zaciągnąć go do Tomska dla reparacyi, to po dokonaniu naprawy musiano zwracać na miejsce przerwania jazdy, jak tego wymagał jeden z przepisów wyścigu.

Z pomiędzy różnych niebezpieczeństw, na jakie narażeni byli uczestnicy wyścigu, pierwsze miejsce zajmuje palenie się stepów, przez które przejeżdżano. Jest to nie rzadkie zjawisko w Syberyi, zwłaszcza przy tamtejszych letnich żarach, gdy słońce tak dopieka, iż chaty, stogi siana i same



Fot. F. Fischer Wiedeń
Zapasy kobiet we Wiedniu: Chwyt wstępny w walce zapaśniczej kobiet.

stepy przedstawiają jedno morze płomieni, wybuch więc rezerwoarów z benzyną mógł był bardzo łatwo nastąpić. Przytem i od gorąca psuły się samochody, n. p. w Chinach i na pustyni Gobi, gdzie żar dochodził do 45 stopni, sprychy kół rozszerzały się i łatwo pękały, a to samo było i z resorami.

Nakoniec po przezwyciężeniu tych wszystkich trudności, „Itala“ zwycięsko minęła granicę Europy z Azyą. Po równinach Rosyi samochód łatwiej i szybciej toczył się, w niedługim też czasie przyjechał ks. Borghese do Moskwy, gdzie go spotkało pierwsze uroczyste powitanie. Na spotkanie wyjechał 20 kilometrów za Moskwę cały tamtejszy świat arystokratyczny i sportowy, by dotychczasowego zwycięscę przeprowadzić do miasta. Osobliwością tego wjazdu było drewniane koło, którego użył książę dojeżdżając do miasta. Wśród uczt, jakie wyprawiano na cześć zwycięsców, ks. Borghese otrzymał od kolonii włoskiej cenny album Moskwy, a od klubu samochodowego specyalny złoty żeton. Barzini'emu przesłały redakcye, których był korespondentem, złote pióro z szafirami. Guizardi'emu wręczyli podarki jego towarzysze.

* * *

Początkowo miał ks. Borghese z Moskwy jechać na Warszawę, gdzie mu przygotowywano wspaniałe owacye, niestety jednak „Itala“ pomi-



Fot. F. Fischer Wiedeń.
Zspasy kobiet we Wiedniu: Grupa atletek, popisujących się w Praterze.



Wyścig automobilów Pekin-Paryż: Ks. Borghese, dotychczasowy zwycięsca w wyścigu.

mo znacznego nałożenia drogi, skierowała się do Petersburga, a stąd na Wierzbołów do Berlina, gdzie oczekuje księcia małżonka jego, przybyła z Rzymu umyślnie na spotkanie.



Wyścig samochodów Pekin-Paryż: Luigi Barzini korespondent pism i towarzysz ks. Borghese.

Śpiący rycerze w Tatrach.

Pięknego dzieła dokonał art.-rzeźbiarz Juliusz Bełtowski, uwieczniając w skale przy dolinie Kościeliskiej jedną z najpiękniejszych legend, z jakich słynie ten uroczy zakątek Polski.



Specyalne zdjęcie dla »Now. Illustr.« Cz. Biernackiego z Mysowej.
Wyścig samochodów Pekin-Paryż: Dwa samochody »De Dion-Bouton« i »Spykar« w Mysowej we Wschodniej Syberyi w dniu 2 b. m.

Ku czci Agatona Gillera.

Co roku w lipcu święci młodzież stanisławowska rocznicę zgonu jednego z najdzielniejszych patryotów doby porozbiorowej, śp. Agatona Gillera,



Ku czci Agatona Gillera: Ś. p. Agaton Giller.

który umarł w Stanisławowie r. 1887 i tam jest pochowany.

Kim był Agaton Giller, tego starszej generacyi schodzącej dzisiaj już z pola, przypominać nie potrzeba. Nazwisko to było przez wszystkich z czcią powtarzane i przez matki Polki synom jako wzór miłości, poświęcenia i pracy niewyczerpanej dla Ojczyzny stawiane.

Dzisiejszej generacyi jednak, żyjącej duszną atmosferą codziennych interesów życiowych, której jako ostateczny cel życia, nauk i wysiłków wskazuje się złoty kołnierz urzędniczy lub intratną posadę, należy przywieść przed oczy tę postać polskiego rewolucyonisty, męża stanu, polityka, pisarza i żołnierza, który jedną tylko przejęty był, przez całe swoje życie ideą: służenia Ojczyźnie, na każdem polu, do ostatniego tchu.

Urodzony w Opałówku, województwie Kaliskiem, r. 1831, z ojca żołnierza Napoleońskiego, przejął od niego Agaton miłość i chęć służenia Ojczyźnie. Do szkół uczęszczał w Warszawie. W chwili wybuchu rewolucyi węgierskiej, Giller, liczący wówczas lat 17, wybrał się w drogę, ażeby stanąć w szeregach walczących o niepodległość, aliści pojmany przez Prusaków, osadzony został w Raciborzu. Uwolniony, trudni się czas jakiś guwernerką, następnie przenosi się do Krakowa, gdzie zapisuje na uniwersytet. Wydany władzom moskiewskim, został skazany na Sybir. Za amnestyą wraca do Warszawy, gdzie bierze się do redagowania „Czytelni niedzielnej“.

Rok 1862 zastaje go przy pracy konspiratorskiej. Powołują go do komitetu Centralnego Narodowego, następnie do składu Rządu Narodowego.

W komitecie Centralnym Giller był przeciwny przedwczesnym porywom. Za jego wpływem odroczono też termin wybuchu powstania i Giller rozpoczął organizacyę tajnego rządu, co świetnie przeprowadził. Tymczasem nastąpił, wbrew jego przestrogom i innych, wybuch powstania. Po upadku tej ostatniej walki o niepodległość, Giller umknął za granicę. W r. 1870 powrócił do kraju i zamieszkał we Lwowie, gdzie redagował „Ruch literacki“. Wydalony ponownie, wyjechał do Szwajcaryi i zamieszkał w Rapperswylu. W r. 1884 wreszcie uzyskał pozwolenie powrotu do kraju z warunkiem osiedlenia się w Stanisławowie, gdzie go oddano pod dozór policyjny. Tutaj oddał się gorliwie pracy litarackiej i oświatowej, choroba jednak serca i płuc powołali go niebawem na łoże i dzielny patryota, po tyloletniej tułaczce spoczął nareszcie na ziemi ojczystej. Umarł d. 18 lipca 1887 i z czcią wielką na cmentarzu stanisławowskim został pochowany.

* * *

Poniżej podajemy podobiznę śp. Agatona Gillera oraz rycinę przedstawiającą pomnik dłuta Dykasa, wzniesiony drogą składek na cmentarzu stanisławowskim. Młodzież stanisławowska gromadza się około niego co roku, aby oddać hołd cieniom wielkiego patryoty i pokrzepić dusze swoje wspomnieniem górnych chwil ostatniej rozprawy orężnej z Rosyą.



Ku czci Agatona Gillera: Pomnik Agatona Gillera na cmentarzu w Stanisławowie.



Spiący [illegible]rze w Tatrach: Postać śpiącego rycerza wykuta w skale.

Według podania ludu tatrzańskiego — w głębi gór, w jakiejś niedostępnej i skrytej dla oka ludzkiego pieczarze, spoczywa w ciszy, snem spowity, oddział wojska polskiego w pełnej zbroi, by w chwili ostatecznej potrzeby stanąć do boju, który przywróci Polsce dawną jej świetność. Ze snu tego budzą się śpiący rycerze raz do roku w noc Zielonych Świąt i wtedy Tatry rozbrzmiewają szczękiem oręża, tętentem w cwał pędzących koni, szumem skrzydeł husarskich, poświstem chorągiewek na kopiach, bo oto śpiący ten oddział spieszy na Magurę, by równo o północy odbyć doroczne ćwiczenia; poczem wraca niewidzialny do swego tajemnego ukrycia, by za rok znowu zmierzyć swą sprawność.

Jak baśń głosi, rycerze ci zjawili się pewnego razu u kowala góralskiego, by podkuł im konie, za co w nagrodę otrzymał odpadki z kopyt, które jednak zamieniły się w ręku jego na złoto. Wśród gór tatrzańskich żyją jeszcze podobno potomkowie tego kowala.

Załączona fotografia przedstawia pełne poetytyckiej fantazyi dzieło p. Bełtowskiego, zdobiące obecnie cudowną dolinę Kościeliską.

Zmiany w kierownictwie galic. Kasy Oszczędności.

Dotychczasowy naczelny dyrektor galicyjskiej Kasy oszczędności we Lwowie, p. Antoni Nikorowicz, ustąpił z dniem 25 lipca b. r. z powodu choroby ze stanowiska kierownika tej największej galicyjskiej instytucyi finansowej.

Dyrektor A. Nikorowicz stanął na czele instytucyi przed 8-miu laty, kiedyto galicyjska Kasa Oszczędności po znanym, wielkim krachu, przebyła ciężkie przesilenie ekonomiczne.

Ustąpiwszy z zajmowanej wówczas posady naczelnika filii Banku Hipotecznego w Tarnopolu, przeprowadził zaraz w pierwszym roku swego urzędowania z niezwykłą energią i opierając się na gruntownej znajomości bankowości, radykalną reorganizacyę Kasy, tak w dziale kasowym, jak i buchalteryjnym. Największą jego zasługą była zupełna sanacya działu wekslowego, który za dyrektorstwa ś. p. Zimy olbrzymie przyniósł Kasie straty, a za rządów dyrektora Nikorowicza stał tak wysoko, że przynosił Kasie najwyższe dochody, a nie wykazywał żadnych prawie strat.

To też Wydział Kasy Oszczędności z żalem tylko przyjął rezygnacyę dyr. Nikorowicza i wyraził mu gorące uznanie za jego gorliwe i sumienne kierownictwo instytucyą i za zasługi, położone około jej gruntownej sanacyi.

Na tem samem posiedzeniu Wydział zaproponował marszałkowi na dyrektora Kasy dotychczasowego zastępcę, znanego w szerokich sferach społeczeństwa dra Edwarda Stroynowskiego.

Nowy dyrektor, dr. Edward Stroynowski, urodził się we Lwowie, a dyplom lekarski uzyskał na uniwersytecie we Wiedniu. Po powrocie do Lwowa w krótkim czasie zasłynął — jako jeden z najlepszych lekarzy-ginekologów, biorąc równocześnie żywy udział w życiu publicznem m. Lwowa. To też obywatele lwowscy powołali go do grona radnych m. Lwowa, której przez długie lata był wybitnym członkiem, a w której był gorącym orędownikiem spraw sanitarnych miasta.

Jego wyłącznie inicyatywie i niezmordowanej pracy zawdzięcza Lwów powołanie do życia lwowskiego Towarzystwa Ratunkowego, którego prezesem dr. Stroynowski jest od lat przeszło 12-stu. Od lat wielu zajmuje się gorąco sprawami przemysłowemi i finansowemi, a od roku 1899 jest członkiem Wydziału Kasy oszczędności oraz zastępcą dyrektora, a od dwóch lat, tj. od czasu kiedy dyr. Nikorowicz zachorował, faktycznym kierownikiem Kasy.

Powierzenie odpowiedzialnego stanowiska w Kasie dr. Strzynowskiemu, spotkał się z ogólnem uznaniem i zadowoleniem.



Zmiany w kierownictwie gal. Kasy Oszczędności: Ustępujący dyrektor Antym Nikorowicz.

Śmierć polskiego historyka.

Przez śmierć śp. Aleksandra Hirszberga nauka polska straciła jednego z najwybitniejszych swych członków, a nie tylko uczonego, lecz i zacnego człowieka, który na polu pracy obywatelskiej położył wielkie zasługi.

Aleksander Hirszberg życie całe spędził w murach Lwowa. Urodzony w stolicy Galicyi 1847 r., tutaj w swem rodzinnem mieście uczęszczał do szkół średnich i tutaj też skończył uniwersytet ze stopniem doktora filozofii. Przez lat kilka był profesorem gimnazyalnym, poczem habilitował się



Smierć polskiego historyka: Śp. Aleksander Hirszberg.

w temże mieście na katedrze historyi polskiej, pełniąc jednocześnie urząd sekretarza zakładu narodowego Ossolineum i kustosza archiwum miejskiego, które zaniedbane doprowadził do porządku z wielkim trudem. Od tej chwili zaczyna sie okres nader owocnej we wszystkich dziedzinach życia pracy zmarłego uczonego. Śladem jego bezprzykładnej pracowitości pozostał liczny szereg dzieł z dziedziny historyi polskiej; wszystkie one są niezmiernej wagi, bo przedstawiają najbardziej zawikłane wypadki dziejów naszych, rozjaśnienie których wymagało wielkiej bystrości umysłu i niezmiernie żmudnej pracy. Dzieła też jego, pisane z niepospolitym talentem, zjednały autorowi sławę nietylko w kraju, lecz i za granicą.

Równorzędnie z pracą naukową rozwijał ś. p. Hirszberg i działalność społeczną. Widząc niski stan oświaty w Galicyi, starał się temu zapobiedz i w tym też celu dla podniesienia poziomu umysłowego ludności wiejskiej, założył Towarzystwo Oświaty ludowej, któremu przewodniczył przeszło 25 lat, a wreszcie dla szybszego osiągnięcia pożądanych skutków, redagował przez pewien czas pisemka „Chatę“ i „Nowiny“.

Najwięcej może trudów włożył w ukochane przez siebie Ossolineum, w którem pełnił do dni ostatnich urząd kustosza, spiesząc każdemu z pomocą, a zwłaszcza młodzieży, której był prawdziwym przyjacielem.



Zmiany w kierownictwie gal. Kasy Oszczędności: Nowy dyrektor dr. Edward Stroynowski.

Piotr Zacone.

Zbrodnia przy ulicy Monge

Sensacyjny romans kryminalny. Tłomaczyła z francuskiego Marya S.

3 (Ciąg dalszy).

Pokój, do którego wszedł, był oświetlony dwoma oknami wychodzącemi na ogród. Pomimo zapadającego zmroku można było jeszcze dostrzedz umeblowanie salonu. Lecz Jerzy Beraldi rzucił tylko na nie pobieżnie okiem; cała jego uwaga i ciekawość została zwróconą na człowieka, którego widział przed sobą. Jakób Mayot liczył w owej epoce lat 50 najwyżej. Był to człowiek ogromnej postawy, kark miał gruby, muskularny, czoło szerokie, ramiona silne i rozwinięte. Twarz była blada, brwi ciemne i gęste, usta grube zmysłowe — lecz siła ta i wybitna zmysłowość twarzy dziwnie kontrastowały z wyrazem oczu.

Spojrzenie tych oczu było dziwnie słodkie i melancholijne. Odzwierciadlała się w nich dusza Jakóba Mayot. W chwili wejścia gościa Jakób Mayot wstał i skłonił się przed nim zmieszany.

— Powiedziano mi przed chwilą — rzekł — że pan pragnie mówić ze mną. Zazwyczaj nie przyjmuję tu nikogo, żyję samotny, nie pragnąc widoku obcych twarzy. Pozostawiają mnie też w spokoju — dodał z gorzkim uśmiechem. — Wiedzą, kim jestem i omijają mój dom, jak zarazę. Kat nie ma przyjaciół, zaledwie rodzinę. To też byłem zdziwiony, gdy mi oznajmiono wizytę pana. Lecz gdy przeczytałem bilet przysłany, poznawszy nazwisko, zdawało mi się, że nie powinienem panu odmówić tej rozmowy. Jestem więc na pańskie usługi, odpowiadać będę na wszystkie pytania, jakie mi pan zada i czuć się będę bardzo szczęśliwym, jeżeli w smutnem mojem położeniu będę mógł się stać panu w czem użytecznym.

Młody człowiek skłonił się na znak podziękowania, usiadł na miejscu wskazanem przez Jakóba Mayot i czekał, aż on sam zajmie miejsce. Ale Jakób Mayot nie usiadł i Jerzy zrozumiał jego wysoką delikatność i skromność.

— Dziękuję panu bardzo za łaskawe przyjęcie mnie u siebie — przemówił po chwili młody człowiek. — To, czego dowiedzieć się pragnę od pana, jest rzeczą wielkiej wagi i myślę, że nie odmówisz mi pan cennych wyjaśnień, o które poproszę.

— O cóż to chodzi? — spytał Jakób Mayot wzruszonym głosem.

— Piastował pan urząd kata aż do 1 stycznia 18... i do tego czasu był pan świadkiem śmierci wszystkich skazanych, więc musi pan pamiętać nieszczęśliwego, którego zasądzenie na śmierć stało się głośnem w całej Europie i który ścięty został 29 grudnia 18... Człowiek ten nazywał się Bernard de Torella; pan go musi pamiętać, nieprawdaż?

Jakób Mayot drgnął nerwowo.

— Ten człowiek był ostatnim — szepnął zmienionym głosem — zaraz nazajutrz pożegnałem moje rzemiosło. Fakt ten, jak również okoliczności, które towarzyszyły tej okropnej egzekucyi, będą mi na długo pamiętne. Zdaje mi się, że nigdy nie będę mógł zapomnieć o dramacie, jaki się rozegrał w nocy 29 grudnia 18...

Młody człowiek milczał. Naraz przytłumione łkanie pierś mu podniosło, ręka spoczywająca na poręczy krzesła zacisnęła się konwulsyjnie. Ale niedługo opanował się siłą woli. Stłumił nadludzkim wysiłkiem ogarniające go wzruszenie i wzrok prawie spokojny podniósł na człowieka, stojącego przed nim.

— To dobrze — rzekł stanowczo — uczucie, które mnie do pana sprowadziło, jest dla mnie święte; sprawia mi to przyjemność, że pan o tem nie zapomniał. Ale nietylko do pamięci pana, lecz i do honoru chcę teraz apelować. Pan rozumie, że milczeć dalej nie może, a ja chcę wszystko wiedzieć... rozumie pan, wszystko!

— Co? co? czego pan żąda? — wyszeptał drżąc Jakób Mayot.

— Żądam — odpowiedział młody podróżny — aby pan powiedział wszystko, co wiesz o hr. Bernardzie de Torella: jak umarł i jakie były ostatnie słowa, które wyszeptał w przedśmiertnej godzinie, w godzinie, w której go tylko Bóg i pan mógł słyszeć.

Jakób Mayot pochylił nisko głowę i milczał przez chwilę. Coś niezwykłego działo się w nim. Ciemne i niepewne błyski migotały w jego oczach, ocienionych długimi i gęstymi brwiami. Pierś jego podnosiła się nierówno; jasnem było, że w myśli jego toczyła się zacięta walka. Jednakże wahanie trwało krótko. Nagłym ruchem uchwycił głowę w dłonie i głuchy jęk, podobny do skargi zranionego zwierza, wybiegł z dyszącej jego piersi. Potem podniósł głowę wysoko i spojrzał na Jerzego Beraldi.

— Będę mówił — rzekł nareszcie dzikim, chrapliwym głosem. — Choć bolesnem będzie dla mnie to okropne żądanie pana, powiem wszystko, co wiem, nic nie ukrywając. Opowiadanie to zmusi mnie do cofnięcia się myślą w przeszłość, o której od lat kilku staram się usilnie zapomnieć i jeżeli poruszy pana widok mojej bladej twarzy, drżącego głosu, lub chwilowego wahania się, nie staraj się pan zgłębić uczucia, które bladość tę i drżenie wywołało. Bóg jeden ma prawo mnie sądzić!

Umilkł wzruszony, pochylił głowę smutnym ruchem ku ziemi i zdawał się skupiać w sobie myśli. Po chwili, na pozór spokojny, zajął miejsce naprzeciw Jerzego Beraldi, który uprosił go, aby spoczął.

— Mów pan! mów pan — zawołał gorączkowo młody człowiek. — Gdyby pan wiedział, czem będzie dla mnie każde słowo pana!

— 28 grudnia 18... — zaczął Jakób Mayot — koło 8-mej godziny wieczorem otrzymałem ów rozkaz, przysłany do małego domku, który zajmowałem na samym końcu przedmieścia. Spadło to na mnie niespodzianie. Dekret, który zawieszał nasze czynności, już się ukazał i myślałem, że nareszcie pożegnam się na zawsze z tą piekielną i fatalną maszyną. Ale rozkaz był jasny, nie było nad czem zastanawiać się, tylko przyjąć go bez szemrania. Natychmiast też zacząłem czynić przygotowania do wyjazdu. Nie może sobie pan nawet wyobrazić, jak ciężkimi były moje obowiązki. Zdaje mi się, że najgorszy sceptyk zadrżeć może, zbliżając się nocą do tego okropnego, skrwawionego krwią tylu ludzi szafotu. Na kilka godzin przed każdą egzekucyą wpadałem w stan dziwnego rozdrażnienia; w wyobraźni mej rozgorączkowanej i przeczulonej, widziałem przesuwające się widma krwawe wszystkich moich ofiar. Czy tylko ja podlegałem podobnemu uczuciu? Czy towarzysze moi i pomocnicy uczuwali również tę straszną odrazę i lęk ogarniający mnie, ile razy zbliżałem się do okropnej maszyny? Nie wiem tego. Pamiętam tylko, że od chwili odebrania pisemnego rozkazu co do godziny i miejsca egzekucyi, aż do chwili, gdy miecz skrwawiony zawisł w powietrzu, umysł mój dręczony był okropnemi wspomnieniami. Napróżno zamykałem oczy i zatykałem uszy, aby nie widzieć, nie słyszeć jęków mordowanych ofiar. Noc z 28 grudnia była dla mnie jeszcze bardziej ponurą i okrutną, niż wszystkie inne. Chodziło tu o dziwną zbrodnię. Winowajca należał do najwyższej klasy społeczeństwa... Wiadomem mi było z czytanych dzienników, że hr. Torella był zasądzony na śmierć. Dlaczego jednak od pierwszej chwili powstało z początku niejasne, później coraz głębsze przekonanie, że człowiek ten był niewinny, z tego nie umiem sobie zdać sprawy. Hr. Torella liczył w owej chwili lat 55. W chwili zazdrości zapomniał się do tego stopnia, że podniósł rękę na młodą dziewczynę, która miała być jego kochanką i pomimo jawnych dowodów, oskarżających go, nieszczęśliwy człowiek do ostatniej chwili rozpaczliwie głosił swoją niewinność. Ofiara jednak umarła, nie mogła nic zeznać; a zresztą rzecz ta nie powinna mnie była tak silnie interesować. Byłem tylko biernem narzędziem, którego obowiązkiem było bez szemrania i uwagi wykonać rozkaz zwierzchności. A jednak czemu byłem tak niespokojny i wzruszony? Całą noc przebyłem na placu publicznym, gdzie odbyć się miała egzekucya i sam z drobiazgową starannością pilnowałem przygotowań.

Dzień zaczął już świtać. Jeszcze miałem godzinę czasu. Dyrektor więzienia przyszedł po mnie, prosząc, abym bezzwłocznie udał się do celi więziennej skazańca. Podobno zbladłem śmiertelnie i pot grubemi kroplami wystąpił mi na czoło. Dyrektor zauważył to moje pomieszanie i zwrócił mi na nie uwagę.

— Co panu jest? — zapytał — czy czuje pan szczególniejszą odrazę do dzisiejszej egzekucyi? Może pan nie chce się z nim widzieć? Niema konieczności.

Zapanowałem już nad sobą.

— Nie — odpowiedziałem — nie możemy odmówić ostatniej prośbie skazanego na śmierć... jestem gotów iść natychmiast z panem.

Pojechaliśmy w milczeniu i w kilkanaście minut później wchodziłem do celi hr. Torella. W celi znajdował się dozorca strzegący więźnia, aby sobie życia nie odebrał. Hr. Torella nie myślał o samobójstwie. Ksiądz pożegnał go przed chwilą. Klęczał na środku celi i modlił się. Poczekałem chwilę. Nie długo to trwało. Odwróciwszy się, dostrzegł mnie oczekującego w rogu pokoju i twarz jego rozjaśniła się nagle. Skinął na mnie ręką.

— Tu, tu, bliżej — szepnął wzruszonym głosem — zbliż się pan więcej. Nikt nie powinien słyszeć tego, co panu powiem.

Usłuchałem i pochyliłem się tuż nad nim. Hr. Torella wyglądał w tej chwili na człowieka prawie pozbawionego zmysłów.

— Wiem, że jesteś pan katem — zaczął nerwowo — za chwilę pozbawisz mnie pan życia... i teraz już przebaczam to panu... Ale chcę się panu zwierzyć z pewną tajemnicą... prosić o oddanie ważnej, ostatniej usługi... Przecież nie okaże się pan na tyle okrutnym, aby mi odmówić?

— O co chodzi? — spytałem.

— Ah, rzecz jest długą do opowiadania, a my mamy tak mało czasu. Ksiądz przed chwilą stąd odszedł; on jeden wie, że jestem niewinny! Tak, jestem niewinny! jestem niewinny! — wołał rozpaczliwie. — Powiedziałem to przed chwilą i powtórzę tam wobec wszystkich u stóp szafotu! Ale to niestety nie wystarcza! Chcę panu powiedzieć to, czego księdzu powiedzieć nie mogłem.

— Mnie? czego pan żąda?

— Słuchaj mnie pan i staraj się zrozumieć. Mam syna... odjechał, już dwa lata go nie widziałem... jestem bardzo złym ojcem, bo przez ten czas nie starałem się nawet dowiedzieć, gdzie się udał. Ale syn ten żyje, dowie się kiedyś, jak skończył jego ojciec i jaką hańbą okrył rodzinne nazwisko! A więc: pamiętaj pan. Zwracam się do ciebie z ostatnią, świętą prośbą: nie chcę, aby się tak stało, rozumiesz?

— Wytłómacz się pan.

— Za chwilę, gdy pomocnicy pana pochwycą mnie, by poprowadzić na stracenie, odchylisz pan koszulę na moich piersiach i na stronie lewej tuż nad sercem znajdziesz bilet, który wiernie zachowasz aż do dnia, w którym syn mój zjawi się po niego u ciebie. Zgadza się pan?

— Nie wiem naprawdę, czy mogę.

Wtedy hrabia powstał nagle i obejmując mnie poważnem spojrzeniem, którego do dziś dnia nie zapomniałem, — wyrzekł głosem silnym.

— Masz może również syna? Masz zapewnie żonę? A więc przez pamięć twojego dziecka, kobiety, którą kochasz, nie odrzucaj prośby człowieka, któremu zaledwie kilkanaście minut pozostaje do życia i który zginie z twojej ręki!

— I cóż pan uczyniłeś — zapytał młody podróżny dysząc ciężko.

— Obiecałem uczynić to, czego odemnie żądał hr. Torella.

— A więc pan posiada...

Jakób Mayot przesunął ręką po czole.

— Tak, obiecałem i szczerze chciałem dotrzymać obietnicy — wyszeptał. — Nie było chwili do stracenia. Opuściłem natychmiast więzienie i udałem się na plac stracenia. Tłum zbity i ciekawy otaczał już piekielną maszynę. Wyszedłem na pomost, obrzuciłem przyrząd ostatniem spojrzeniem i zapatrzony w uliczkę, przez którą miał nadejść żałobny kondukt, czekałem. Trwało to dosyć długo. Nareszcie żołnierze, towarzyszący egzekucyi, ukazali się na rogu, a potem nadjechała karetka, wioząca skazańca, otoczona żandarmami. Zawrzało pomiędzy publicznością, a ja uczułem, jak serce moje zabiło przyspieszonem tętnem. Mgła zasłoniła mi oczy, gardło ścisnęło się kurczowo, musiałem oprzeć się o słup szafotu, bo czułem, że słabnę. Nie wiem, jak długo trwało to osłabienie. Gdy wróciłem do przytomności, zobaczyłem, jak nieszczęśliwy hrabia wstępował po schodach krokiem pewnym i śmiałym; obok niedo szedł ksiądz, którego on zdawał się nie słuchać. Gdy doszedł do pomostu, wzrok jego skierował się na mnie z wyrazem okropnej niepewności. Nie zdawał się widzieć ani szafotu, ani strasznego miecza, patrzał tylko na kata, myśląc o obietnicy, którą mu uczyniłem. Możliwem jest, że przejęty nadzwyczajną ważnością chwili, odpowiedziałem machinalnie na jego pytające spojrzenie potwierdzającem skinieniem głowy, gdyż nagle twarz jego się wypogodziła i dobrowolnie oddał się w ręce pachołków. Pod pozorem pomożenia im, zbliżyłem się wtedy do niego i odruchowo, pchany niewytłómaczoną siłą, odchyliłem koszulę na piersiach i gorączkowo szukałem kartki, która się tam znajdować miała.

— I znalazłeś ją pan? — spytał Jerzy Beraldi, wstając blady z czołem zroszonem potem, ściskając dłonie nerwowo.

— Oto jest — odpowiedział Jakób Mayot, bledszy jeszcze od swojego interlokutora.

I wyciągnąwszy z kieszeni kartkę papieru poczwórnie złożoną, podał ją młodemu podróżnemu, który ją pochwycił ruchem nagłym i gorączkowym. Na kartce tej skreślone były następujące słowa:

„Synu mój! Umieram niewinny! Przysięgam to przed Bogiem w ostatniej godzinie przed śmiercią! Umieram niewinny i liczę na ciebie, że pomścisz nasze imię!

Hr. de Torella“.

— Ojcze mój! ojcze! — zawołał młody człowiek i bezsilny, bez słowa, bez ruchu, osunął się jak martwy na krzesło. Oczy miał błędne, nieprzytomne.

Nastąpiła chwila głębokiego milczenia. Jakób Mayot stał z rękami skrzyżowanemi na piersiach, z głową pochyloną, spojrzeniem utkwionem w podłogę, wsłuchując się w bicie gorączkowe swego serca.

Od kilku chwil pogoda zmieniła się nagle. Ciężkie białe chmury zawisły nad domem, wiatr w gwałtownych podrywach zginał prawie do ziemi młode drzewka ogrodu; zdala dochodził w krótkich przestankach groźny pomruk grzmotów. Zbliżała się burza. Od czasu do czasu czerwona błyskawica rozdzierała czarne sklepienie nieba; kilka grubych kropli spadło z szelestem na gałęzie modrzewi, rosnących pod oknami pawilonu, a w powietrzu ciężkiem przebiegło gorące, ogniste tchnienie, połączone z zapachem siarki. Niebo teraz zaciemniło się zupełnie, noc ponura zaległa pokój, w którym znajdował się Jakób Mayot ze swoim gościem, a z kilku stron wybuchały równocześnie prawie krwawe błyskawice. Nagle powietrze rozdarły dwa silne uderzenia, które pochwyciło echo doliny i powtórzyło kilkakrotnie; burza wybuchnęła w całej pełni.

Szalony niepokój natury zdołał wyrwać młodego człowieka z jego smutnych rozmyślań; potrząsnął żywo głową, jakgdyby chcąc porzucić myśl jakąś dręczącą i objął głowę rękami rozpaczliwym ruchem.

— Niewinny! niewinny! — powtarzał. — Tak, tak być musiało! Nie wątpiłem o tem ani na chwilę, gdy wieść o tem okropnem nieszczęściu doszła do mnie poza granicami kraju. Nieszczęśliwy ojciec, nieszczęśliwa ofiara! Ach, nie napróżno zwróciłeś się do twojego syna. Od tej chwili przysięgam ci...

— Cóż pan zamierzasz uczynić?

— To, czego on żąda odemnie. Życie swoje poświęcę temu zadaniu! Bóg podtrzymywać będzie moją odwagę i przecież potrafię rozświetlić ciemności!

Przy tych słowach wstał i uczynił ruch, jakgdyby chciał się skierować ku wyjściu.

— Pan odchodzisz? — zapytał Jakób Mayot...

— Nie mam chwili do stracenia.

— Ale ostrzegam pana, że narażasz się na niebezpieczeństwo, puszczając się w drogę w czas podobny.

W tej chwili grube krople deszczu, gnane wiatrem zadzwoniły w okno pawilonu. Był to istny potop. Na twarzy młodego człowieka odbił się gniew i zniecierpliwienie.

— Masz pan słuszność — odpowiedział — lepiej uczynię, zatrzymując się tu chwilę.

— Za godzinę lub dwie najdłużej deszcz ustanie. Jak tylko niebo się wypogodzi, będziesz pan mógł udać się z powrotem do Cabrol — poczem kłaniając się dodał z uszanowaniem: — Nie myślę niepokoić pana swojem towarzystwem, pozostawię pana samego, będzie pan mógł opuścić ten pawilon, kiedy tylko zechcesz.

Jerzy Beraldi podziękował gestem, a Jakób Mayot skłoniwszy się jeszcze, skierował się ku wyjściu.

Dwie godziny ubiegły. Huragan szalał jeszcze z równą siłą. Jerzy Beraldi z ciekawością, uderzony widokiem burzy, stał pochylony w oknie pawilonu, upatrując napróżno zmiany. Podczas tego oczekiwania szczególna okoliczność zwróciła uwagę młodego człowieka — wywołując dziwne i niepokojące wrażenie. Zegar znajdujący się w pokoju, wybił północ! Północ! Nareszcie burza zdawała się uspokajać... grzmoty były coraz cichsze i dalsze... Błyskawice rzadziej już zjawiały się na szarem niebie. Od czasu do czasu księżyc wychylał się z poza chmur i słabym promieniem oświetlał okolicę. Dźwięk zegaru, wydzwaniający wolno godzinę dwunastą nie przebrzmiał jeszcze w powietrzu, gdy nagle Jerzego ogarnęło drżenie. O kilka kroków od pawilonu, przy świetle błyskawicy dojrzał on sylwetkę dwóch cieni. Widzenie trwało zaledwie kilka sekund. Jerzy jednak był pewnym tego, że wzrok go nie mylił. Był to mężczyzna i kobieta. Kobietą była Roma — poznał ją!... Ale człowiek który jej towarzyszył, nie był Jakóbem Mayot. Któż to mógł być? Jerzy niespokojny otworzył ostrożnie okno i przenikliwe spojrzenie zagłębił w ogród... nadsłuchując.

Doszedł go szmer niewyraźny, potem dźwięk rozmowy stłumiony — odgłos pocałunku, a w chwilę później tentent biegnącego galopem konia.



....pochwycił ją ruchem nagłym i gorączkowym.

Co to mogło znaczyć? Jakiejże to tajemniczej schadzki był świadkiem w domu byłego kata Jakóba Mayot? Ale zresztą co go to mogło obchodzić? Obowiązek poważny i święty wzywał go do czynu! Dowiedział się czego pragnął, nie potrzebował dłużej pozostawać w „Samotnym Domu“.

Burza tymczasem zupełnie ucichła, księżyc czysty oświetlał drogę, którą miał przebyć, nic go tu nie zatrzymywało. Wyszedł do ogrodu i podszedł do bramy. Koń jego stał na tem samem miejscu, w jakiem go pozostawił. Biedne zwierzę drżało jeszcze z lęku, oszołomione wichrem i grzmotami — na widok Jerzego zarżało też radośnie. Młody człowiek wskoczył szybko na siodło i za chwilę koń unosił go wyciągniętym kłusem do Cabrol. Druga godzina biła na starym ratuszu, gdy zatrzymał się przed oberżą pod „Złotą papugą“. Upadał ze zmęczenia i wzruszeń przebytych. Czemprędzej udał się do swojego pokoju, rzucił się na łóżko i zasnął wkrótce.

Obudził się późno. Słońce świeciło jasno i wesoło. Na dźwięk dzwonka wbiegł służący.

— Pan daruje — rzekł — że nie obudziłem go wcześniej, ale wczoraj wieczorem wydawał się pan być bardzo zmęczonym i nieśmiałem...

— Dobrze zrobiłeś mój przyjacielu — odpowiedział Jerzy, ubierając się. Nie spieszy mi się. Każ mi przygotować śniadanie i powóz, który mnie odwiezie do Montauban.

Służący skłonił się, ale nie ruszył się z miejsca:

— Co to jest?! — zawołał zdziwiony młody człowiek — czy nie słyszałeś rozkazu?

— Oh, najzupełniej, proszę pana. Tylko chciałem jeszcze powiedzieć panu, że w czasie jego nieobecności przybył do hotelu jakiś podróżny, który pragnie widzieć się z panem.

— Ze mną?

— Nie wiem, czy to rzeczywiście pana widzieć pragnie, ale wczoraj, gdy na jego zapytanie powiedziano mu, że pewien młody pan przyjechał karetką z Paryża, wykrzyknął: — „To on!“ — i zapowiedział, że czekać będzie na pański powrót...

— Co to za człowiek?

— Nie mogę panu tego powiedzieć

— Czy znajduje się w hotelu?

— Tak jest i od godziny nudzi mnie, abym pana obudził.

— Ale przecież musiał powiedzieć swoje nazwisko?

— Tak jest, kazał panu oddać ten bilet.

— Dawaj.

Jerzy wziął bilet z rąk służącego i wyczytał wypisane na nim drobnym drukiem:

„Rigolo“.

— Rigolo! — powtórzył zdziwiony — ależ ja nie znam nikogo tego nazwiska!

— Cóż mam odpowiedzieć temu panu?

Jerzy uczynił ruch zniecierpliwienia i namyślał się chwilę.

— Poproś pana Rigolo tutaj — rozkazał — ale powiedz mu równocześnie, że nie mam wiele czasu do rozporządzenia i proszę go, aby był zwięzłym w rozmowie.

Służący oddalił się, a w kilka chwil później Rigolo wchodził do pokoju. Wszedł wolnym krokiem, zdając się nie patrzeć zupełnie na młodego człowieka. Stanął przed nim, podniósł oczy i zaklął straszliwie.

— Cóż to znaczy? — zawołał Jerzy zdziwiony — co panu jest?

Rigolo wzruszył ramionami.

— Co mi jest? — odpowiedział żywo z wyrazem zawodu na twarzy — do stu dyabłów, dałem się ładnie podejść! Otóż pan nie jesteś wcale tym łajdakiem, którego poszukuję!

— Ależ panie!

— Dobrze! dobrze! wybacz mi pan, niema o co się obrażać, bo gdybyś pan wiedział, co mi się przytrafiło!

— Wytłómacz się pan!

Rigolo długą chwilę przypatrywał się zamyślony i skupiony twarzy młodego człowieka. Nagle podniósł głowę i uśmiechnął się.

— W końcu — rzekł — nie mam potrzeby ukrywania tego przed panem. Jak ktoś palnął głupstwo, musi bez szemrania przyjąć jego skutki a przedewszystkiem starać się je naprawić. Wygląda pan na uczciwego chłopca, znam się na tem i ponieważ przypadek poznajomił nas, pogawędzimy trochę, jeżeli pan pozwoli. Jakże się to panu podoba?

— Ależ ja nie wiem — wyszeptał Jerzy który naprawdę nie wiedział, co myśleć o tym szczególnym człowieku.

— Dobrze — odpowiedział Rigolo — muszę pana jednak ostrzedz, że nie należę do eleganckiego świata, ani nie posiadam loży w operze. Jednakże nie trzeba nigdy nikim pogardzać, bo nieraz i maluczki przydać się może. Zresztą, ażeby pana przekonać, że nie jestem złośliwym i niebezpiecznym ptaszkiem, pokażę panu coś, co pana prędko objaśni.

Mówiąc to Rigolo, wyjął z kieszeni bilet, który podał Jerzemu.

Młody człowiek przeczytał go i drgnął mimowoli.

Ciąg dalszy nastąpi.

Nowy francuski generalissimus.

Jednym z krajów, dla którego czuliśmy zawsze żywą sympatyę, jest bezwarunkowo Francya. Prawie nigdy, lub conajwyżej tylko krótkotrwałe łą-



Nowy francuski generalissimus: Ustępujący gen. Hagroh.

czyły nas węzły międzypaństwowe, a jednak jakieś wzajemne zrozumienie się obu narodów wytworzyło pewną między nami przyjaźń, choć nie opartą na żadnych traktatach. Od końca ośmnastego wieku żywsze zapanowały z Francyą stosunki, lecz potem rozluźniły się i tylko dawna życzliwość trwa po dawnemu. Nic też dziwnego, że i w obecnych chwilach, pomimo że polityka winna byłaby rozdzielić nas zupełnie, my, Francuzi Północy, żywo interesujemy się losami istotnych Francuzów na Zachodzie. Obecnie dochodzą nas stamtąd nie wesołe wieści, bo z powodu silnych agitacyj socyalistycznych przeciw armii, siła bojowa Francyi została narażoną na znaczny szwank, tak iż Prusacy dzięki tylko swemu osamotnieniu wśród mocarstw, nie śmieją obecnie napaść na Francyę. Agitacya ta przedostała się nawet do parlamentu paryskiego, gdzie deputowani ożywieni najlepszemi pragnieniami ulżenia doli żołnierskiej, zawotowali prawo, określające czas trwania służby wojskowej tylko na dwa lata.

Prawo to nie znalazło uznania w generalnym sztabie francuskim, który utrzymuje, iż nagłe zastosowanie tej nowej ustawy wojskowej może sprawić tylko szkodę, a zwłaszcza w obecnej dobie rozpuszczenie żołnierzy, którzy przesłużyli już dwa lata, osłabi armię.

Ostatecznym skutkiem tego nieporozumienia są ważne zmiany, jakie nastąpiły w najwyższym zarządzie armii. Jenerał Hagron, upatrzony na „generalissimusa“ armii francuskiej, podał się do dymisyi z zajmowanych przez siebie urzędów, uważając, iż nie może wobec uchwalenia dwuletniej służby wojskowej przyjąć na siebie odpowiedzialności za gotowość bojową armii; oprócz niego usunęło się jeszcze dwóch wyższych generałów. Na miejsce Hagrona został mianowany generał de Lacroix, osobiście znany cesarzowi Wilhelmowi, gdyż na weselu następcy tronu pruskiego stał na czele misyi francuskiej.

Wspaniała cerkiew.

W prześlicznej, malowniczej okolicy, u stóp lesistych pagórków — rozciąga się w pobliżu drogi z Przemyśla do Rzeszowa, po obu brzegach Sanu, wioska Ruska-wieś. We wiosce tej był przez wiele lat duszpasterzem grecko-katolickim śp. ks. Julian Sas Kuiłowski, żołnierz wojsk polskich powstańczych, potem biskup stanisławowski, a w końcu arcybiskup i metropolita lwowski.

Po nominacyi na metropolitę ofiarował szlachetny ten kapłan znaczne fundusze na kościół w Dubiecku i na nową cerkiew w Ruskiej-wsi.

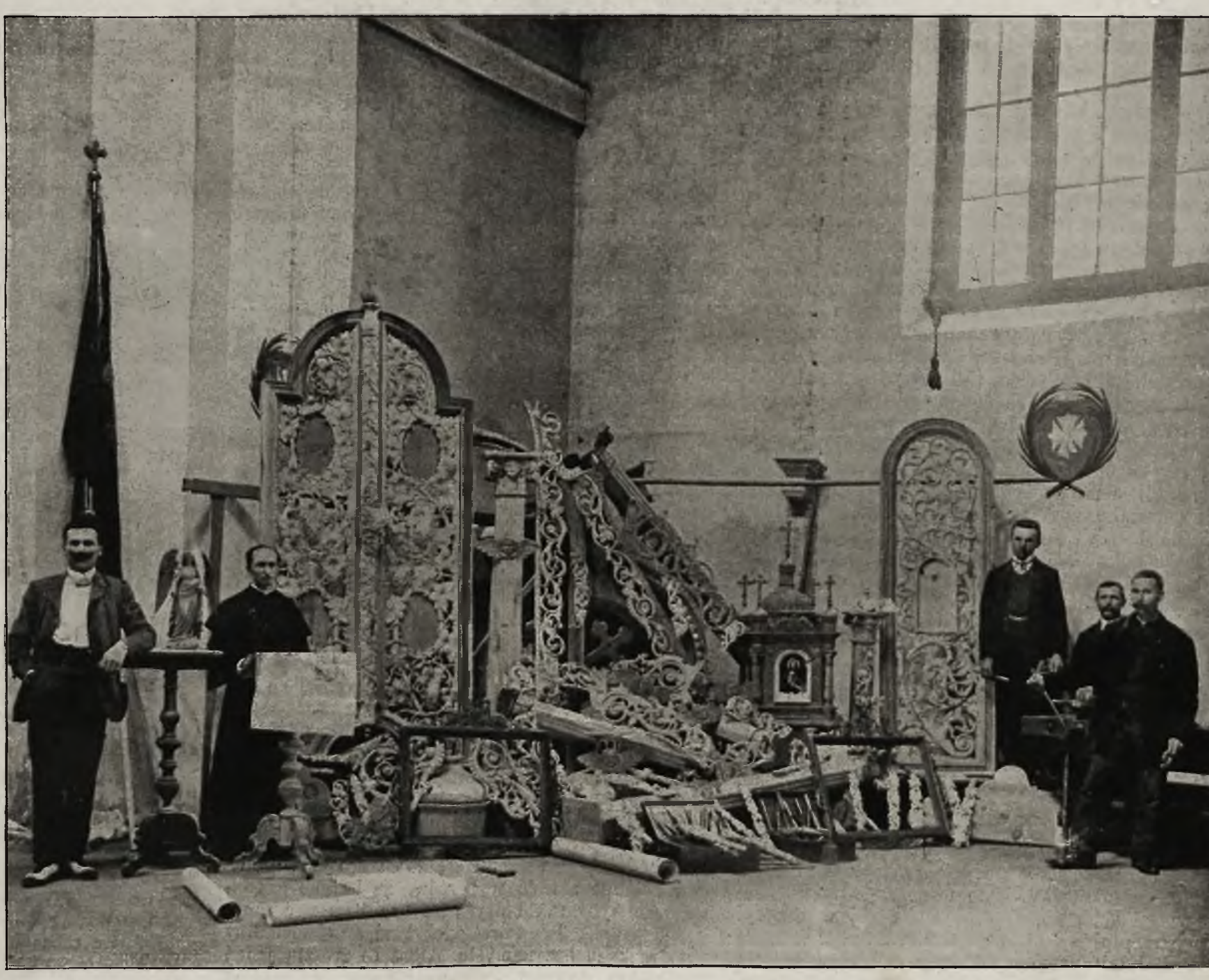
Dzięki temu hojnemu darowi i składkom miejscowej ludności, stanęła tutaj w 1904 r. jedna z najpiękniejszych cerkwi w okolicy, a nawet w kraju. Kopułą, wieżyczkami i wogóle zewnętrzną formą, przypomina ona bazylikę św. Piotra w Rzymie. Tej zewnętrznej formie odpowiada zupełnie urządzenie wewnętrzne. Główny ołtarz, ambona, ołtarze boczne, baldachim, ławki, konfesyonały oryginalnej konstrukcyi, wykończone są ze subtelną dokładnością w czystym, bardzo miłym, renesansowym stylu. Przedewszystkiem tak zwany ikonostas jest tak artystycznej i misternej roboty, iż formalnie oczu od niego oderwać nie można. Jest to dzieło pomysłu i dłuta od niedawna w tamtych okolicach osiadłego, młodego jeszcze, bardzo skromnego rzeźbiarza i snycerza, Henryka Heuchla. Poprostu uwierzyć trudno, że w małej wiosce kryją się tak bogate skarby sztuki. Cały ikonostas swoją strukturą wskazuje na dokładną znajomość stylu, jak niemniej wymogów obrządku wschodniego.

Srodkowa część, tj. „carskie wrota“, rzeźbione są tak pięknie, iż zdaje się, jakgdyby winną latarośl przeniesiono i zaszczepiono tutaj z winnicy. Ramy do obrazów, filarki, ubrane są cudownie rzeźbioną koronką. Nad carskimi wrotami wznoszą się dwie postacie cherubinów, strzegących wnijścia do sanctuarium.



Nowy francuski generalissimus: Nowo mianowany dowódca armii francuskiej generał de Lacroix.

Całość wogóle jest tak harmonijną, iż dziś już, choć ikonostas nie jest jeszcze skończony, robi niezwykle miłe wrażenie i pod niejednym względem przewyższa ikonostasy w bogatych cerkwiach we Lwowie, Przemyślu itd.



Fot. M. Todt w Przemyślu.

Wspaniała cerkiew: Ułamki ikonostasu w cerkwi w Ruskiej-wsi. Obok na lewo snycerz-rzeźbiarz p. Henchel.

Kronika tygodniowa.

Zanim kronika moja dobiegnie do Czytelników, ks. Borghese dobiegnie na swoim samochodzie do Paryża. Fakt ten uczczą wszystkie dzienniki (wprawdzie nie „przez powstanie“), książę pan stanie się w ich mniemaniu nieśmiertelnym, a właściciel fabryki, z której wyszła „Itala“, z procentem odbije koszta, jakie poniósł na te wyścigi. Bo, choć to nieładnie podejrzywać, mam takie wrażenie, że w całej tej imprezie chodziło o reklamę dla fabrykanta. Dawniejsze wyścigi automobilów, przedtem jeszcze rowerzystów własnonożnych i motorowych, wrażeniu mojemu nadają cechy prawdopodobieństwa — boć wiadomo wszem wobec i każdemu z osobna, że zwycięscy w tych wyścigach byli wynajęci przez fabrykantów.

Przeciw memu podejrzeniu przemawia to, że ks. Borghese jest nie byle kto, ale książę i to z takich książąt, co mieli pieniędzy jak lodu. Jaki jest jednak stan jego kieszeni, nie wiem — ba! nie wie nawet krakowski urząd podatkowy. Trzebaby wysłać chyba jednego z galicyjskich „skarbowców“, aby „wypośrodkował“ jego wartość finansową — wiadomo bowiem, że przed oczami tych panów nic się nie ukryje, że nawet, jak to świadczy głośna sprawa rotmistrza Kodrębskiego, panowie ci są tak wspaniałomyślni, że gotowi każdemu powiększyć ilość jego dochodów i to nawet wbrew jego woli. Niestety, ręka uczniów JE. Korytowskiego do Włoch nie sięga, więc też trudno mi wiedzieć, czy zwycięsca Pekinu-Paryża należy do tych książąt, co mają tylko tytuł książęcy, czy też do tych, co mają i książęce dochody.

W każdym razie potomek ten starego rzymskiego rodu okazał się godnym swoich przodków. A nie lada to byli przodkowie! Bywali pomiędzy nimi znakomici wojownicy, senatorzy, byli i kardynali, a jeden nawet, Kamil imieniem, zasiadł na stolicy apostolskiej, jako Paweł V. Należeli też do słynnych mecenasów sztuki: któż nie słyszał o wspaniałej willi Borghese, której portyk dziedzińca opiera się na 96 kolumnach granitowych, a w której 11-stu salach zgromadzono dzieła takich mistrzów, jak Rafael, Tycyan, Rubens i t. d. Więc dobrze się stało, że potomek tego rodu tak się odznaczył. Jego przodkowie pracowali na innych polach — on na innem. Tamci byli wielkimi w kościele, senacie, przelewali krew, gromadzili skarby sztuki — a on posiada najszybszy automobil. „Jak kto może, ku ogólnemu dobru niechaj dopomoże“. Cześć bohaterowi!

W oddaniu czci automobilowemu księciu chciała wziąć udział i Warszawa, a raczej ta jej część, którą jeden z fejletonistów nazwał Warszawką. Ale biednemu wiatr zawsze w oczy wieje — jak się mu nie wiedzie, to się nie wiedzie. Zresztą przeszła Warszawa w ostatnich latach tyle już nieszczęść, że jedno więcej nie zaważy.

Najdroższe marzenie Warszawki, aby powitać w swych murach ks. Borghese, spełzło na niczem. Idący zawsze w parze z uczuciami ogółu „Kuryer Warszawski“, wysłał na automobilu własnego korespondenta do Brześcia litewskiego, aby czynił honory domu wielkiemu zwycięscy na drodze do Warszawy, a potem aż do Słupcy (jaki jest rym do tego miasta, wiedzą dobrze poeci); „w celu spotkania i powitania księcia na ziemi polskiej“ wyruszyło do Brześcia całe grono sportsmenów własnymi samochodami; „gorące przyjęcie“ było przygotowane w Warszawie, zamówiono uczty i wieńce laurowe — wtem jak piorun z jasnego nieba spadła wiadomość, że książę zamiast na Smoleńsk, Mińsk, Brześć i Warszawę, skierował swą benzynę na Kowno, Wierzbołów i Eydkuny. Stało się — do czary zawodów Warszawki nowa kropla przybyła.

Cóż robić? Trzeba pocieszać się tem, że pisma nasze drukują wciąż dalej obszerne sprawozdania z podróży automobilistów. Dowiadujemy się z nich bardzo dużo o Syberyi. Na przykład, że są w niej złe drogi, że są w niej tundry i tajgi, że żyją w niej Burjaci, Samojedzi, Ostiacy i inne plemiona pogańskie, że mróz w niej dochodzi do 40 stopni, a do tyluż stopni dochodzi i gorąco. Zdawałoby się, że o tem nic nigdy nie wiedzieliśmy, że żaden z Polaków nie „bawił“ na tej ziemi i żaden z nich jej nie opisał. Tymczasem zapewne my mielibyśmy daleko więcej do opowiedzenia o Syberyi księciu Borghese, niż nam o niej powiedzieć może pan Barzini, urzędowy historyk podróży księcia pana. Nawiasem dodam jeszcze, iż ze swej strony żałuję niezmiernie, że księciu Borghese nie wypadła droga przez Zakopane. Byłbym go namówił, aby przejechał automobilem do doliny Strążyskiej via Kasprusie. Jeżeli z tej wycieczki pojazd jego wyszedłby cało, to uwierzyłbym, iż „Itala“ jest ósmym cudem świata.

Ale dość o księciu Borghese. Słynna galerya tego imienia przypomina mi, że o kupioną przez Lwów galeryę toczy się zawzięta polemika. Jedni mówią, że gród Lwa zrobił świetny interes, nabywając zbiory p. Jakowicza, drudzy są zdania, że gminę lwowską srodze „orżnięto“. Trudno na „niewidziane“ „wypośrodkować“ kto ma słuszność. Ale ponieważ p. Jakowicz, jak się pokazuje, jest handlarzem sztuki i starożytności, ponieważ tenże pan już takie galerye sprzedawał i ma jeszcze do sprzedania, ponieważ w znawstwo lwowskich znawców wierzę tyle, co w znawstwo znawców krakowskich (a w to ostatnie całkiem nie wierzę), ponieważ za jakąś setkę, czy parę setek tysięcy kor. niepodobna nabyć galeryi, składającej się choćby z kikunastu, a co dopiero z kilkuset cennych dzieł sztuki, między którémi jest nawet obraz Rafaela — przeto choćby pan wiceprezydent Rutowski miał mi wytoczyć dyscyplinarkę, przypuszczam, że pan Maryan Olszewski, który swoją broszurą antigaleryową tyle huczku narobił, był bliski prawdy twierdząc, że Lwów dał się wziąć na kawał. Choć z drugiej strony i znawstwo p. Olszewskiego nie bardzo mi imponuje, kto bowiem nazywa arcydziełem „Racławice“ Chełmońskiego i radzi je nabyć za 20.000 rb., ten nieszczególne sobie, jako znawcy, wystawia świadectwo. Chełmoński jest znakomitym malarzem (któżby temu przeczył?) ale „Racławice“ należą do najsłabszych jego utworów i tylko reklama sztucznie wartość ich przeceniła.

Poseł Bojko znów twierdzi, że przeceniono... rozkosze „obszarników“. Bardzo mądry jego artykuł w tej kwestyi pomieściła „Gazeta chłopska“. Zdaje wam się chłopy (taki mniej więcej jest sens artykułu Bojki), że obszarnik ma życie jak „po maśle“. Prawda, że lepiej jada, że jeździ powozem, że puszcza się za granicę — ale to jest szych, bo w rzeczywistości (z wyjątkiem wielkich panów) trudno mu związać koniec z końcem. Podatki go gniotą, robotnik coraz droższy, długi rosną — stąd połowa obszarników to kandydaci na dziadów. „Gazeta Narodowa“ chwali te mądre uwagi Bojki i przyznaje, że ma on zupełną słuszność. Ale choć tak jest (dodaje), niech to was nie zraża panowie obszarnicy. Ciężkie wasze życie, to prawda, ale zajmujecie „posterunek honorowy“ i wytrwać na nim jest „obowiązkiem narodowym i kulturalnym“. Kronikarz „Nowości“ przyznaje z kolei słuszność „Gazecie Narodowej“, ale ponieważ wie, że nie każdy ma siły borykać się z przeciwnościami — przeto, gdyby pomiędzy Czytelnikami „Nowości“ znalazło się paru obszarników, którym ten „obowiązek narodowy i kulturalny“ wydaje się zbyt ciężkim, to z góry oświadcza, że gotów jest poświęcić się i przyjąć na siebie brzemię obszarnictwa. Temu poświęceniu się nie stawiam żadnych granic: zajmę chętnie choćby pięć a nawet dziesięć „posterunków honorowych“ z łąkami, lasami, z inwentarzem żywym i martwym. Nie żądam żadnego za to wynagrodzenia, żadnej dopłaty. Komu więc sprzykrzyło się gospodarować, ujadać się z chłopami i komisyami podatkowemi, niech zgłosi się do redakcyi „Nowości“, a ta mu udzieli bezinteresownie mojego adresu. Jestem całkiem zdecydowany.

Mniej zdecydowany jest poseł Korol co do swojej narodowości. Jak wiadomo, wraz z dwoma innymi starorusinami zapisał się w Radzie państwa do klubu ruskiego, czyli małoruskiego, czyli ruteńskiego, czyli ukraińskiego. Ale, jak to już miałem zaszczyt zauważyć w jednej z poprzednich kronik, obrzucono go za to jajami. Argument był silny, ale p. Korol nie dał się odrazu przekonać. Zwołał więc wiec i dopiero po nim, „ulegając woli wyborców“, oświadczył, że czuje się nawskroś Rosyaninem. Tak samo oświadczył poseł Kuryłowicz, tak samo ma oświadczyć poseł Dawydiak. To rozumiem, to szczyt abnegacyi, to idealne zrozumienie hasła: wola wyborców jest święta. Wprawdzie i u nas, nawet w Krakowie, kandydaci tak szanują wolę większości wyborców, że kładąc się spać konserwatystami, wstają nazajutrz demokratami, lub odwrotnie, ale to tylko zamiana zasad, nie narodowości. Tymczasem ci panowie byli naprzód starorusinami, potem uznali się za małorosyan, a obecnie zgodnie z wolą wyborców, są istinno russkimi. A gdyby tak który wiec kazał im być Polakami, żydami, lub Portugalczykami? Usłuchaliby tego rozkazu bez namysłu. Albóż to zresztą jeden Rusin był dawniej Polakiem? Wszakże sławny Naumowycz chadzał za młodu w konfederatce... A pan Wasilko? Ten był (jak mówią) i Rumunem i Polakiem, jak teraz jest Rusinem. Pono sobie kazał już szyć kontusz, ale kiedy się przekonał, że jako Rusin będzie głową narodu, naczelnikiem, a wśród Polaków nie może być głową, lecz innym członkiem, znacznie niżej położonym, wolał przyjąć ruską narodowość, choć polskim językiem lepiej władał, niż tym, który uznał za macierzysty...

Ha! o cuda nie trudno — cały świat przewraca się do góry nogami. Radzą dyplomaci w Hadze nad pokojem, a od pierwszej ich konferencyi wydatki Europy na wojsko wzrosły o $1\frac{1}{2}$ miliarda franków, a na flotę o 1.147,000.000. Czwarty syn cesarza Wilhelma jest podobno socyalistą. „Bund der Deutschen in Galizien“ umieszcza redakcyę swego pisma we Lwowie na... Bartosz-Głowackigasse. Młodzież urządza po zdrojowiskach poważne wieczory klasyczne, zakończone... tańcami. Kupcy niemieccy uchwalili, aby wszystkie kościoły naznaczyły stały dzień dla Wielkanocy. Słowem: gwałtu co się dzieje — istny chaos! A co z niego wyniknie, przekonamy się, jeżeli dożyjemy.

Polski dziadek.

I.

Czoło z blizny starej śladem,
Włos jak mleko, czerstwa twarz,
Siedemdziesiąt lat z okładem,
Liczy stary dziadek nasz.

W pokoiku małym mieszka
Okna ma na słońca wschód,
A od drzwi prowadzi ścieżka
Do kapliczki wiejskiej wrót.

Dziadzio rzeczy ma niewiele,
W swem ubóstwie trwa:
Damasceńską karabelę,
Złoty krzyż, pierścionki dwa.

Bo z cenniejszych swych pamiątek
Prawie wszystko rozdał już
Rad, że ma spokojny kątek
Zdala świata, walk i burz.

Tak dziadziowi życie płynie,
Dzień za dniem bez żadnych zmian,
A u służby i w rodzinie
Jest kochanym „starszy pan“.

II.

U naszego dziadka łatwo
Zająć w sercu pierwszy plan,
Lecz najchętniej z małą dziatwą
Zwykł przestawać „starszy pan“.

I synkowi mówi matka:
„Bądź już grzecznym, idź i proś
O powiastkę jaką dziadka,
A on ci opowie coś!...“

Dziadzio knastrem napchał fajkę,
Włożył dłoń za słucki pas,
Rozpoczyna dzieciom bajkę
Z rzędu może setny raz.

Z bezwzględnością swą dziecinną
Łasząc się u starca nóg,
„Dziadziu! powiedz bajkę inną!“
Przerwał mu najstarsy wnuk.

Dziadzia „żywość“ ta weseli
Dla odmiany prawi im
O swej starej karabeli
I o złotym krzyżu swym...

III.

Dziadzio z własnych oszczędności,
Chcąc parafii ująć trosk,
Sprawił ornat Jegomości
I do świec — darował wosk.

Dziadzio prosił raz plebana,
Aby skoro zacznie dnieć,
Kazał zbudzić go do rana,
Gdy Mszę świętą będzie mieć.

Jutro jego imieniny,
Niech modlitwę przyjmie Bóg,
Niech da szczęście dla rodziny,
Niech się zdrowo chowa wnuk.

Długo czekał ksiądz z wotywą,
Bo staruszek zaspał znać
Więc po dziadka szle co żywo,
Że czas do kościoła wstać...

Już go dzwonka głos nie wzruszy
Już się przeniósł w lepszy stan,
Odpraw Mszę za spokój duszy:
Zamknął oczy „starszy pan!...“

K.

Dzielne pływaczki.

Sport pływacki znajduje się u nas na bardzo niskim stopniu rozwoju. Jest to zresztą naturalnem następstwem warunków hydrograficznych naszego kraju. Prócz niewielu, brudnych przeważnie i nie nadających się do kąpieli stawów, prócz paru rzek, gdzie poziom wody w pewnych tylko okresach dochodzi do tej wysokości, iż pływanie jest tam możliwe, zresztą brak u nas odpowiedniego terenu.

Inne są pod tym względem stosunki w krajach położonych nad morzem lub tam, gdzie nie brak rzek szerokich i głębokich. W tych okolicach rozwój sportu pływackiego stanął na bardzo wysokim poziomie. Istnieje też mnóstwo stowarzyszeń pływackich, które propagują zamiłowanie do tego ze wszech miar pięknego i nadzwyczaj dla zdrowia pożytecznego sportu.

Stowarzyszenia te urządzają w pewnych odstępach czasu wyścigi swych członków. Są to widowiska niezwykle zajmujące, o lepsze bowiem walczą tam tylko siły ludzkie, ich wyrobienie i sprawność oraz zręczność. Przestrzenie, na jakich wyścigi pływackie się odbywają, są nieraz bardzo znaczne. Wytrwalsi pływacy przebywają wpław przestrzenie kilometrowe. Do jakiej doskonałości można doprowadzić sztukę pływania i wytrwałość muskułów, dowodzą też próby przepłynięcia wpław ogromnego kanału La Manche, przedzielającego Anglię od Francyi.

Sport pływacki dostępnym jest oczywiście nietylko płci brzydkiej ale i kobietom. Na tem polu odznaczyły się one już niejednokrotnie i zdobyły w zapasach pływackich uznanie dla gibkości swych członków, zręczności i wielkiej wytrwałości muskułów.

Niedawno, bo zaledwie kilkanaście dni temu, odbyły się we Francyi pod miastem Joinville-le-Pont na rzece Marnie międzynarodowe wyścigi pływackie kobiet. Wywołały one bardzo wielkie zaciekawienie, czego dowodem były tłumy widzów, zebranych w pobliżu miejsca oryginalnych zapasów. Liczbę publiczności obliczano w tym dniu na 25.000 osób.

Pływaczki, które brały udział w wyścigach, podzielone były na kilka klas, stosownie do wieku. Meta wynosiła 200 metrów. Zwycięstwo odniosła i zdobyła wspaniałą nagrodę Angielka, miss Footmann, odznaczająca się nietylko silną, wspaniałą budową ciała, ale i nadzwyczajną urodą.

Rycina nasza, załączona w dzisiejszym numerze, przedstawia chwilę, kiedy zgrabne pływaczki wskakują w spienioną rzekę, aby ją przebyć wpław.

Z pieśnią na ustach.

Jak każdego roku, tak i obecnie ruszyła śpiewacza drużyna krakowskiego chóru akademickiego w odwiedziny do krajowych zdrojowisk i miejsc



Dzielne pływaczki: Start w wyścigach kobiet na rzece Marnie.

kąpielowych, niosąc w dani przebywającym tam letnikom pieśń polską, humor, wesołość, życie.

Że śpiewacy krakowscy miłymi są gośćmi i bardzo pożądanymi, zbyteczne dodawać. Oczekują ich niecierpliwie wszyscy, starsi i młodzi, zwłaszcza zaś urocze kuracyuszki, bo przyjazd ich zapowiada im nietylko miłe wrażenia artystyczne na koncercie, ale i wesołą, ochoczą zabawę na reunionie. Wiadoma zaś rzecz, że krakowski chór akademicki cieszy się opinią doskonałych danserów.

Tournée artystyczne krakowskiej drużyny obejmuje prawie wszystkie miejscowości klimatyczne, od Zakopanego aż do Truskawca i Rymanowa. Program koncertów zawiera utwory prawie wyłącznie polskich kompozytorów, jak Żeleńskiego, Niewiadomskiego, Galla, Bursy itd. W wykonywaniu tych naszych, polskich pieśni, chór krakowski celuje, a świeżość głosów młodych śpiewaków, ich muzykalność i zapał, wreszcie ześpiewanie się z sobą, zapewniają koncertom tym zupełne powodzenie.

* * *

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie fotograficzne, przedstawiające grupę członków krakowskiego chóru akademickiego w Krynicy.

Świątynia pokoju.

Niezwykłą i jedyną w swoim rodzaju uroczystość obchodzili mieszkańcy Hagi, mianowicie położenie kamienia węgielnego pod gmach, który należeć będzie do wszystkich państw na świecie, choć stanie kosztem jednego człowieka. Mówimy o „Pałacu Pokoju“, posiadającym już swą przeszłość, pomimo, iż dopiero przyszłość przed nim się otwiera.

Podczas pierwszej konferencyi pokojowej, rząd hagski znalazł się w trudności, bo nie miał gdzie pomieścić delegatów z całego świata, ani na posiedzenia plenarne, ani też na posiedzenia bardzo licznych komisyj, musieli więc przedstawiciele potężnych mocarstw cisnąć się w nieodpowiednich salach. Pierwszy pomysł obecnie budującego się pałacu należy do Whitego, delegata Stanów Zjednoczonych, który nakłonił znanego filantropa miliardera Carnegiego do założenia biblioteki dla sądów rozjemczych i wybudowania w tym celu odpowiedniego gmachu. Projekt jednak na razie nie doszedł do skutku, dopiero w kilka lat później Carnegie za namową Martensa ofiarował $7^1/_2$ miliona koron, „celem zbudowania pałacu dla sądu rozjemczego i utworzenia biblioteki pod wspólną na-



Fot. Olma — Krynica.

Z pieśnią na ustach: Krakowski chór akademicki w Krynicy.

zwą świątyni pokoju“. Opiekę nad tą świątynią miał sprawować rząd holenderski. Jeżeliby do skutku nie doszły sądy rozjemcze, wtedy o przeznaczeniu gmachu tego miał decydować prezydent Stanów Zjednoczonych i król holenderski.



Swiątynia pokoju: Uroczystość położenia kamienia węgielnego pod gmach »Świątyni Pokoju« w Hadze

Pomimo jednak tak wspaniałej ofiary Carnegiego, sprawa budowy gmachu nie posunęła się naprzód; winę za to składano na rząd holenderski, a nawet samą królową Wilhelminę, którzy niechętni byli temu projektowi, obawiając się, iż na kraj ich mogą spaść najróżnorodniejsze przykrości, gdy Haga stanie się stałem siedliskiem akcyi pokojowej wszystkich państw; zamiar ten i upadłby był może, gdyby nie pierwszy projektodawca White, który dla obrony swego pomysłu poruszył całą prasę amerykańską. Pod naciskiem tedy opinii wszechświatowej raźniej przystąpiono do uskutecznienia tej myśli. Za 700.000 guldenów holenderskich kupiono grunt, poczem rozpisano konkurs na projekt gmachu. Wpłynęło 216 projektów, z których nakoniec jeden uznano, po poczynieniu rozmaitych zmian, za odpowiedni; autor jego, architekt Cordonnier z Lille, otrzymał nagrodę w sumie 12.000 guldenów.

W pałacu tym mieścić się będzie i sejm rozjemczy i biblioteka. Gmach ten będzie wyglądał imponująco; na parterze oprócz dwóch czytelni znajdować się będzie i sala o powierzchni 500 mt. kwadratowych.

Budowa ma być ukończona za 4 lata, lecz już teraz przewidują brak pieniędzy, a Carnegie odmówił kategorycznie wszelkich dodatków, niedobór więc pokryją wszystkie państwa, one też sprawią do gmachu umeblowanie kosztem 300 tysięcy guldenów.

Rycina nasza przedstawia właśnie uroczystość kładzenia kamienia węgielnego pod przyszłą „Świątynię Pokoju“. Na pierwszym planie widzimy prezydenta obecnej konferencyi pokojowej Nelidowa, delegata rosyjskiego, jak srebrną kielnią nakłada cement na cegły.

Po zjeździe lekarzy i przyrodników polskich.

X. Zjazd polskich lekarzy i przyrodników we Lwowie zakończył się w piątek 26 lipca uroczystem posiedzeniem plenarnem w sali miejskiego teatru. Plon obrad pięciodniowych jest bardzo obfity i dla nauki polskiej niezmiernie doniosły.

Program ostatniego Zjazdu obejmował prócz obrad, szereg wycieczek do uroczych miejsc kąpielowych i klimatycznych Galicyi. Rozpoczęto je od położonego najbliżej Lwowa Lubienia; przybyłych tam gości powitał właściciel zakładu, Adolf br. Brunicki, oraz lekarze i kuracyusze, poczem nastąpiło zwiedzanie tej pięknej i coraz bardziej się rozwijającej miejscowości. Podwieczorek w restauracyi zakładowej, dany na cześć gości przez bar. Brunickiego, zakończył miłą wycieczkę.

Dalszym etapem wycieczkowym było Zakopane. Przybyło tam przeszło 80 uczestników Zjazdu, przeważnie zakordonowych lekarzy i przyrodników. Zwiedzili oni szczegółowo całą miejscowość, zakłady w niej istniejące, pensyonaty, muzeum im. Chałubińskiego, oraz nowe urządzenia wodociągowe. Dużo czasu poświęcili goście zwiedzaniu zakładów dra i Chramca i dra Dłuskiego, oddając należne po-



Po Zjeździe lekarzy i przyrodników polskich: Wycieczka uczestników Zjazdu w Krynicy. Fot. Olma, Kraków.

chwały wzorowym urządzeniom tam istniejącym. Następnego dnia odbyła się wycieczka do Morskiego Oka, gdzie miłych gości podejmowało Tow. Tatrzańskie.

Z kolei ruszyli uczestnicy Zjazdu w dalszą drogę i po krótkim pobycie w Żegiestowie i Szczawnicy zawitali do Krynicy. Lekarze, ordynujący tam, urządzili w sali restauracyjnej domu zdrojowego przyjęcie towarzyskie; następnego dnia zaś zwiedzano zakład bardzo szczegółowo. Zdrojowisko w Krynicy wywarło naogół bardzo korzystne wrażenie na gościach. Popołudniu odbył się bankiet, dany przez Zarząd zdrojowy, wieczór zaś byli goście obecni na przedstawieniu w teatrze. Po przedstawieniu nastąpił wielki raut we wszystkich salach Domu zdrojowego.

Z Krynicy rozjechali się uczestnicy Zjazdu i wycieczek do domów, unosząc ze sobą sporo miłych wrażeń i zadowolenie po spełnieniu obowiązku. Żegnano się serdecznie: „do widzenia" — na następnym zjeździe, który wedle uchwały komisyi ma się odbyć w Warszawie, o ile tylko stosunki polityczne na to pozwolą.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie fotograficzne grupy Uczestników Zjazdu na wycieczce w Krynicy.

Nowy Syllabus.

Cały świat katolicki zajęty jest obecnie najnowszem orędziem apostolskiem, jakie w niedawnym czasie wydał Ojciec św., Pius X. Potrzebę wydania nowego Syllabusa, o którym właśnie mówimy, spowodował w głównej mierze ruch katolików niemieckich, którzy z początku w sposób nadzwyczaj tajemniczy, potem już jawnie szerzyli nowe pojęcia o starych dogmatach.



Nowy Syllabus: Papież Pius X.

Tłómaczenie nauki Kościoła do ostatnich czasów spoczywało jedynie na pisarzach kościelnych, którzy przez odpowiednie specyalne przygotowanie najbardziej do tego byli uzdolnieni i dawali tem samem pewną rękojmię zgodności swych zapatrywań z istotną treścią dogmatów. Dopiero w ubiegłym wieku i ludzie świeccy jęli się badań nauk teologicznych, a że sami przejęci byli poglądami liberalnymi i radykalnymi, musieli też i ten pierwiastek wnieść do rzeczy najzupełniej z nimi sprzecznych, w ten więc sposób powstały błędne zapatrywania i tłómaczenia nauki Kościoła. Papież Pius IX musiał wystąpić przeciw tym nowinkom w rzeczach od wieków ugruntowanych i w r. 1864 wydał pierwszy Syllabus, którym jako nieomylny sędzia w rzeczach wiary, potępił wszystkie zboczenia od nauki Kościoła.



Nowy Syllabus: Kardynał Vanutelli.

Obecnie liberalny ruch kościelny w Niemczech wywołał potrzebę nowego Syllabusa. Jak wspomnieliśmy powyżej, niemieccy katolicy, opierając się na teologach, którzy dzieł swych nie poddali cenzurze duchownej, zapragnęli pewnej dowolności w swych wierzeniach i mieli zamiar domagać się od Stolicy świętej przyznania im tej swobody. W tym też celu podobno zawiązały się tajne stowarzyszenia, które zbierały podpisy na petycyę, jaką miano przedstawić papieżowi. Niestety w nadziejach swych zawiedli się najzupełniej, bo uprzedzając ich, Pius X polecił Inkwizycyi zredagować nowy Syllabus, potępiający te zapatrywania, których uznania spodziewali się właśnie postępowi katolicy od Stolicy Apostolskiej. Cały ten ruch został więc w zarodku stłumiony, bo ze strony katolików nie podniosły się żadne głosy przeciwne woli głowy Kościoła. Czy i o ile poddadzą się tej woli przywódcy opozycyjnego ruchu w Niemczech, dziś oczywiście przewidzieć nie można. Na razie brak w tym kierunku wszelkich wskazówek.

Istotnymi redaktorami tego Syllabusa byli podobno dwaj uczeni zakonnicy, jeden franciszkanin, drugi dominikanin, którzy dokonali niepowszedniej tej ze względu na swój ogrom pracy. Syllabus bowiem składa się w głównej swej części ze zdań, wyjętych z pism najrozmaitszych uczonych, których zapatrywania przeciwne są Kościołowi, zakonnicy ci więc musieli znać całą nowoczesną literaturę, przeczytać we wszystkich językach tysiące dzieł, tak treści ściśle naukowej ze wszystkich dziedzin wiedzy ludzkiej, jak też i treści belletrystycznej, gdyż Kościół wyrokuje nieomylnie nietylko w rzeczach wiary, ale i moralności.

Wobec niesłychanie dziś rozwiniętego ruchu umysłowego na całym świecie, była to więc praca iście syzyfowa.

Kto zna choć pobieżnie, choć w ogólnych zarysach ogrom i różnorodność materyału naukowego, stanowiącego treść dzisiejszej literatury, ten może łatwo zrozumieć, ile pracy i wysiłków trzeba było włożyć w ułożenie dzisiejszego, drugiego z rzędu Syllabusa.

A nie wystarczała tu sama pracowitość, musiała ją wesprzeć wiedza głęboka i wszechstronne wykształcenie.

Autorzy Syllabusa musieli opierać się na materyale z pierwszej ręki, podawać dosłownie z inkryminowanego autora całe zdania, które znowu podlegały najszczegółowszemu rozważaniu na posiedzeniach Inkwizycyi, poczem dopiero wchodziły w spis artykułów potępionych. Zdań takich nowy Syllabus wylicza 65, a wszystkie one odnoszą się do błędnych zapatrywań na istotę Kościoła katolickiego.

* * *

Obecnie z powodu wydania Syllabusa podajemy fotografie papieża Piusa X-go, jak i dwóch najgłówniejszych członków Inkwizycyi, kardynałów Mery del Val i Vanutellego.

Marya Markówna.

W zespole lwowskiej opery, w zespole złożonym z sił wyłącznie polskich, jest bardzo wiele talentów pierwszorzędnych, które przy dalszej pracy nad sobą, umiejętną ręką prowadzone, zajmą



Nowy Syllabus: Sekretarz stanu, kardynał Mery del Val.

w historyi polskiej muzyki niewątpliwie wybitne miejsca. Odnosi się to zwłaszcza do sił żeńskich. Wśród nich jedno z pierwszych miejsc przypaść musi p. Markównej, śpiewaczce młodej, obdarzonej pięknym, dźwięcznym i silnym głosem al-



Marya Markówna.

towym. P. Markówna ma za sobą kilkuletnie studya, naprzód we Wiedniu, a następnie we Lwowie w znakomitej szkole Paschalis-Souvestrów. Pracę na scenie rozpoczęła przed rokiem zaledwie, a pierwsze kroki stawiała w Krakowie. Debiut jej w niezbyt wdzięcznej roli Niklasa w „Opowieściach Hoffmana“ zwrócił uwagę na młodą śpiewaczkę, której piękny głos, wsparty wyborną dykcyą, doskonałą szkołą i dużą muzykalnością, szedł w parze z grą bez zarzutu, nacechowaną dystynkcyą i swobodą ruchów. To samo powodzenie miał występ p. Markównej w roli Jadwigi w „Strasznym dworze“.

Dziś, po roku całym pracy jej i nauki na scenie, stwierdzić trzeba, iż postępy, jakie młoda śpiewaczka w czasie tym zrobiła, są bardzo znaczne. W tegorocznym sezonie zresztą miała p. Markówna więcej sposobności do okazania zalet swego głosu, poprzednio bowiem dzieliła repertuar z p. Oleską, obecnie zaś objęła go sama w całości.

To też mieliśmy sposobność słyszeć ją nietylko w dawnych partyach Niklasa i Jadwigi, ale i w partyach nowych, jak Jagna w „Starej baśni“, jak piastunka w „Eugeniuszu Oneginie“, dalej w „Przyjacielu Frycu“ i innych.

Powodzenie towarzyszyło dotąd p. Markównej niezaprzeczone, to też na tej podstawie może sympatyczna ta artystka z otuchą patrzeć w przyszłość i oczekiwać sporo jeszcze laurów i oklasków, których jej też z całego serca życzymy.

Adam Okoński.

W wystawionych w ubiegłym tygodniu „Opowieściach Hoffmana“ objął po raz pierwszy partyę demona baryton lwowskiej opery p. Okoński, partyę śpiewaną na poprzednich przedstawieniach tej pięknej rzeczy przez p. Mossoczego. Występ ten dał p. Okońskiemu nową sposobność do popisania się pięknym głosem, o bardzo obszernej skali oraz doskonałą grą sceniczną.

P. Okoński, choć wiekiem młody, należy do śpiewaków bardzo wytrawnych i ze sceną obytych. Przez szereg lat śpiewał z powodzeniem w operetce, poczem ze względu na ogromne postępy, jakie głos jego, z natury dźwięczny, miły i duży, przy pracy bardzo sumiennej stale czynił, został zaangażowany do opery i odtąd jest jej siłą bardzo użyteczną.

W długim szeregu ze wszech miar udałych kreacyi p. Okońskiego, bardzo wybitne miejsce zajmują partye Scarpia w „Tosce“, tytułowa w „Eugeniuszu Oneginie“, dalej kontuszowe w operach polskich, Tonia w „Pajacach“, pielgrzyma w „Zygfrydzie“. Ogółem repertuar p. Okońskiego obejmuje już dziś około 30 oper, tak że niepodobna na tem miejscu wszystkich ich wyliczać.

Zaznaczyć jednak należy, że głos utalentowanego artysty nabiera coraz więcej siły i dźwięku, zwłaszcza w rejestrach dolnych i średnicy. Barwa bardzo szlachetna i charakter głosu kwalifikuje go przedewszystkiem do partyj dramatycznych,



Adam Okoński.

zwłaszcza przy nadzwyczajnych wprost warunkach zewnętrznych p. Okońskiego.

Dzięki więc swemu głosowi, dzięki ogromnej muzykalności i inteligencyi, w spartej niepospolitym talentem aktorskim, wysuwa się p. Okoński na jedno z bardzo poczestnych miejsc operowej trupy lwowskiej.

Z lwowskiego bruku.

(Nudy we Lwowie. — Ekscelencya jako atrakcya. — Co za ekscelencya? — Cyrk przyjeżdża. — Dlaczego się nie wieszamy? — Brak sensacyi. — Rozpruwacz brzuchów we Lwowie jako członek honorowy. — Fabrykacya skandali. — W Brzuchowicach.)

Na lwowskim bruku panują, jak wam zapewne wiadomo z depesz Biura korespondencyjnego — niesłychane nudy, których rozpędzić nie może ani deszcz, ani festyny, ani wycieczki, ani nawet sama jaśnie wielmożna „ekscelencya Fehim Pasza“, produkująca się od kilku dni w Colosseum, taka prawdziwie kanikularna ekscelencya, kobieta z bogatą przeszłością, bo aż przez ośm dni była metresą jakiegoś tureckiego inspektora policyi, który ją potem wyrzucił. A także była kiedyś przystojną. Proszę sobie wyobrazić, czy to nie jest wielką atrakcyą dla artystycznego Lwowa, skoro za marne parę koron może na własne oczy przez pożyczoną lornetkę oglądać taką... ekscelencyę kolossealną. Prasa uderzyła w wielki bęben, nawołując naród, aby spieszył oglądać „ekscelencyę“, a naród ogłupiały gorącem, kanikułą, bryndzą, no i artykułami patryotycznej prasy, chodzi i płaci, aby widzieć... ekscelencyę, świeżo mianowaną przez sam zarząd lwowskiego Colosseum. A widzi tam zwykłą akrobatkę, która kiedyś mogła być trochę przystojną, a której zostały jedynie duże oczy, swoją drogą mocno podkreślone, a stąd bardzo cybulaste...

Poza tą atrakcyą dostajemy teraz inną. Cyrk przybywa, cyrk Henry'ego, który od miesiąca daje na siebie czekać z wielką niecierpliwością, a który podług afisza — składa się ze 120 koni i tyluż osób — męskiego, żeńskiego i nijakiego rodzaju. Nadto pokazywać będzie prawdziwe słonie i inne zwierzęta oraz rzetelne panny na koniach nieosiodłanych. W mieście panuje gorączkowe oczekiwanie i wszyscy pytają się ciągle: gdzie cyrk, kiedy zjeżdża cyrk, czemu jeszcze nie przyjechał cyrk? I smutni są wszyscy, że jeszcze niema cyrku, ale na 15 bm. wjeżdża wraz z cyrkiem powszechna wesołość.

Na razie więc nudzimy się. Jedyną rozrywkę mają słomiani wdowcy w „Olimpii“, gdzie Bronowski śpiewa bardzo dowcipne kuplety i same nowe a pieprzne piosenki. Na festynach marnie, na wycieczkach marnie, w kawiarniach marnie i nudno, że zginąć można albo powiesić się.

Jeżeli obywatele lwowscy jeszcze dotąd nie powywieszali się z nudów, to tylko z obawy, aby z powodu wielkiego zapotrzebowania sznurków i ten artykuł nie podrożał. Bo dotąd jest to we Lwowie jedyny tani artykuł, na który każdy przeciętny, nawet niezamożny obywatel pozwolić sobie może. Gdyby i sznurki podrożały, to zostałby tylko jeszcze tramwaj, pod który możnaby się w razie potrzeby położyć, ale nie z dobrym skutkiem, bo tramwaje są obecnie próżne i nie są nawet w stanie nikogo porządnie przejechać i zostawiłyby co najwyżej kilka sińców.

O jakiejkolwiek sensacyi nawet mowy niema. Reporterzy chodzą bez nosa, bo w tych czasach kanikuły nos jest im zupełnie zbędny, a to, co pozostałoby im do wąchania we Lwowie, wcale nie nadaje się do publicznego omawiania, jeżeli nie było już kilkakrotnie publikowane. Aż z Berlina sprowadzamy rozpruwacza brzuchów i opowiadamy o nim w naszych dziennikach okropne historye, od których czytelnikom wszędzie wstają włosy, nawet pod pachami. Gdyby się taki rozpruwacz chciał potrudzić do Lwowa bodaj na jeden gościnny występ — zamianowalibyśmy go natychmiast członkiem honorowym Towarzystwa dziennikarzy, bo uratowałby siedm dzienników i dużo tygodników od utopienia się we wodzie, produkowanej a nawet hyperprodukowanej w tym czasie we Lwowie na wyścigi.

W braku prawdziwych skandali, fabrykujemy przy stoliku sztuczne sensacye, aby przecież raz usta otworzyć czytelnikom, naturalnie nie do ziewania, ale z podziwu. Lecz publika jest apatyczną i nie przestaje ziewać niemiłosiernie od ucha do ucha i to do czasu, aż przyjedzie cyrk, cyrk, cyrk, albo operetka, na którą Lwów czeka jak na zbawienie, bo ludzie „het“ pozapominali aryi z „Wesołej Wdówki“ i śpiewają i gwizdają je fałszywie. Błagamy więc was na klęczkach: wypuśćcie operetkę z Krakowa, niech wraca.

Nawet w Brzuchowicach ludzie strasznie się nudzą, czego dowodem jest mały wypadek, jaki tam zaszedł ubiegłej niedzieli.

Państwo Xowie wybrali się do znajomej pani, która już od miesiąca bawi w Brzuchowicach i ciągle ich do siebie zaprasza. Tej niedzieli, bez uprzedniego uwiadomienia, zajechali wprost do willi, gdzie mieszka młoda osoba. Mąż owej pani leczy się w Pöstyanie na Węgrzech. Stają więc pod drzwiami i pukają, ale nikt im nie otwiera. Pukają drugi raz — nic. Z pokoju dochodzi ich szept i szmer, ale nikt nie odpowiada na pukanie. Mąż popatrzył na żonę, żona na męża, oboje zdumieni. Czyżby? E, nie, taka uczciwa kobiecina...

— Ale słyszałam — mówi pani X. — wyraźnie męski głos.

— A ja słyszałem wyraźnie prócz męskiego, damski głos.

— No i jak ci o co chodzi, to i całusy także były dosłyszalne.

— Tak, tak i uściski.

— Fe, wracajmy, dobrze, że wiem.

— A to ładna historya! biedny mąż!

Poszli na dworzec. I ku wielkiemu zdumieniu spostrzegają panią, do której się wybrali.

— Co pani tu robi? My już byli u pani, staliśmy pół godziny pod drzwiami.

— Czy to możliwe? — mówi młoda pani — przecież teraz wychodzę z domu...

— Gdzież pani mieszka? nie tam, gdzie przed miesiącem?

— Broń Boże! Tam teraz mieszka młoda para nowożeńców, ja mieszkam gdzieindziej, pozwólcie państwo ze mną, to wam pokażę.

I poszli.

Kl.

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez
Fortuné du Boisgobey.
Tłómaczył z języka francuskiego K. W.

10 Ciąg dalszy

Zdrada była, ale nie było upadku. Odeta nie upadła, nie sprzeniewierzyła się wierności i uczciwości małżeńskiej. Schodzili się ze sobą jak para narzeczonych i tylko poetyckie uniesienia, serdeczny uścisk dłoni, były tą zdradą, której się dopuszczali. Nawet pocałunek ust ich nie złączył. A jednak teraz pogardzał sobą Saint-Briac, bo dojrzał grożące Odecie nieszczęście. Za wszelką cenę trzeba się pozbyć niebezpieczeństwa, trzeba pozyskać milczenie złoczyńcy. Sam przeciw niemu nie wystąpi, bo Zweimark dokonałby zemsty, groźbę spełniając. Wpadło mu na myśl, że może właśnie Zweimark jest mordercą nieznanej ofiary, skoro był na wieży, czy pod nią, w czasie katastrofy. Trzeba na niego zwrócić uwagę tych, co mordercy szukają. Więc dowiedział się w sądzie o adresie Meriadeca, na świadka wzywanego i do niego pospieszył.

IV.

Uderzyła właśnie godzina dziesiąta przed południem, gdy Daubrac ukończył czynności lekarskie w „Hotel Dieu“. Zajęty myślą o wydarzeniach przedwczorajszych, chciał zajrzeć na wieżę, żeby się czegoś nowego dowiedzieć, a może panna Verdier pociągała go w tamtą stronę. W tem zjawia się ona sama, z oczyma zapłakanemi, głęboko wzruszona. Zanim zdołała przemówić, Daubrac zapytał jej niespokojnie:

— Co się pani wydarzyło panno Rozalio?

— Największe nieszczęście! mój ojciec umiera, przyniesiono go właśnie do szpitala. Pan taki dobry, panie doktorze, niech pan spieszy do niego, niech go pan ocali.

Daubrac wybiegł natychmiast, za nim spieszyła nieszczęśliwa dziewczyna. Na końcu korytarza znajdował się duży lokal, w którym na razie umieszczano chorych, przywiezionych z miasta. Przy starym dzwonniku był już lekarz dyżurny. Dzwonnik nie dawał już prawie znaku życia. Lekarze z całym wysiłkiem chcieli go ocalić, ale po kilku minutach Rozalia Verdier została sierotą. Dzwonnik skonał na udar mózgu.

Przerażający krzyk wydarł się z piersi nieszczęśliwej córki i padła omdlona z bólu. Dopiero po upływie godziny ocknęła się i oprzytomniała, przeniesiona do ambulatoryum doktora Daubraca. Dzielność charakteru wrodzona, niezwykła siła woli, dźwignęła biedną dziewczynę. Daubrac zbliżył się do niej serdecznie i rzekł z tkliwością brata:

— Jeżeli w czemkolwiek mogę się pani przysłużyć, to proszę rozporządzać mną z całem zaufaniem. Przedewszystkiem niech mi pani powie szczerze, ale zupełnie szczerze, jak bratu, co pani zamyśla uczynić?

— Pracować, jak dotąd.

— Nie wątpię, ale zapewne pani nie zechce pozostać na wieży?

— Pozostać nawet nie mogę, bo już wczoraj dano memu ojcu dymisyę i dziś kazano mu się z wieży wyprowadzić, by się opróżniło miejsce dla nowego dzwonnika. I ten cios właśnie zabił mi ojca. Muszę natychmiast zabrać wszystko z mieszkania co moje i szukać sobie schronienia.

— Gdzież pani tak nagle podzieje całe urządzenie mieszkania?

— Urządzenie! nie mieliśmy żadnego. Wszystkie sprzęty są własnością miejską, a ja mam tylko cośkolwiek ubrań, bielizny, pamiątek po matce, a teraz po ojcu. Całe to mienie moje zmieści się w jednym kuferku. Przenieść się łatwo.

— Ale dokąd? Czy pani zastanowiła się nad tem panno Rozalio, że biorąc mieszkanie, naraża się pani na różne przykrości i niebezpieczeństwa? Pani musi mieszkać pod jakąś opieką.

— To nie możliwe, bo nie mam teraz nikogo, prócz Boga.

— I prócz serdecznego przyjaciela. Niech mi pani zaufa. Wprawdzie mało się znamy, ale mimo tego mogła się pani przekonać, że nie byłbym zdolny do nadużycia zaufania kobiety.

— Ufam panu, panie doktorze, ale cóż pan może dla mnie uczynić?

— Zaopiekować się panią, jak siostrą. Przedewszystkiem chciałbym pani zapewnić ojcowską opiekę. Jeden z moich dobrych znajomych mógłby pani użyczyć u siebie mieszkania.

— Panie doktorze, nie mów pan tak, to mi sprawia wielką przykrość, a zwłaszcza, że pan to mówi.

— Panno Rozalio! — proszę pamiętać, że mówię jak brat do siostry. Temu znajomemu, o którym mówię, oddałbym własną siostrę pod opiekę. Jest to człowiek prawy, szlachetny, który sobie poniekąd wziął za cel życia ochraniać słabe istoty od tego złego, co na nie czyha, być strażnikiem cnoty, a walczyć ze wszelką niegodziwością. Jestto baron Meriadec. Zajmuje obszerny dom z osobnym pawilonem, w którym mieszka zarządczyni jego domu, osoba w poważnym wieku, uczciwa, stateczna, najwierniejsza długoletnia sługa barona, oddana mu całą duszą; mogłabyś pani podzielić z nią mieszkanie i urządzić sobie w niem pracownię.

— Lecz jakiem prawem? z jakiego tytułu?

— O to niech się pani nie troszczy, ani nie pyta. Baron uczyni to nie dla pani, lecz dla mnie. Jest moim serdecznym przyjacielem, więc mogę żądać od niego tej przysługi, bez ubliżenia sobie i pani.

Sierota spojrzała na doktora długim, przeciągłym wzrokiem, jakby mu chciała zajrzeć do głębi duszy i zapytać: „Dlaczego ty się mną tak zajmujesz?“ Nastała chwila milczenia, Daubrac zrozumiał to pytanie wzroku, wyciągnął rękę ku Rozalii i rzekł tkliwie.

— Wszak jestem ci bratem, panno Rozalio i niczem, tylko bratem. Znam panią dobrze, wyznam szczerze, że cię śledziłem, badałem tok twego życia i powziąłem dla ciebie cześć prawdziwą. Dziś, u zwłok twojego ojca wyrażam ci uczucia braterskie, a kiedyś, później poproszę...

I znowu nastała chwila milczenia. Sierota zarumieniła się, łzy spłynęły jej z oczu.

Daubrac ponownie wyciągnął ku niej rękę:

— Mówię z panią bardzo poważnie, z wielką rozwagą, a z głębi serca. Ufaj mi pani i usłuchaj mojej rady. Przyjm schronienie u barona Meriadec.

— Wierzę panu i zastosuję się do pańskiego życzenia.

— Dziękuję pani. Proszę pozwolić, że poślę służącego za panią po rzeczy. Niech pani pożegna tyloletnią siedzibę i zabierze wszystko, co pani miłe, a ja tymczasem poczynię zarządzenia do ostatniej usługi ojcu.

Rozalia wyciągnęła obie ręce ku doktorowi, uścisnęła je serdecznie i rzekła ze łzami:

– Zacny pan jesteś, panie doktorze. Niech ci Bóg nagrodzi.

W dwie godziny potem jechał doktór z panną Verdier na ulicę Cassette. Panna Verdier była zamyślona, nieśmiała i złamana bólem sierocym. Daubrac wiedział dobrze, że daremne bywają wszelkie słowa pociechy, że raczej rozdzierają rany, niż je zabliźniają, więc nie silił się nawet na pocieszanie sieroty, a natomiast odrywał ją od rozpaczliwych myśli rozwijaniem planów na przyszłość. Po kilkunastu minutach zatrzymała się dorożka przed domem barona.

Meriadec rozmawiał z malarzem i naradzali się właśnie nad tem, jakby wyśledzić owego niegodziwca, który im uszedł. Szasza rozmawiał w przyległym pokoju z innym gościem barona. Był to malarz Kosiński, Polak z Warszawy, dobry znajomy Fabrequette'a. Fabrequette dowiedziawszy się, że Kosiński mówi biegle po rosyjsku, sprowadził go do barona, aby przyjemność sprawić Szaszy. Istotnie uradował się Szasza niezmiernie, gdy usłyszał mowę ojczystą. Rzucił się Polakowi na szyję z radości, ożywił się bardzo i mówił, mówił bez końca, jakby się chciał wygadać w ojczystej mowie za ten cały czas, przez który jej nie słyszał.

— Mikołaj Trofimowicz mówił mi raz o tem, że Polacy mieli własne wojsko i że nasi wojsko polskie pobili, ale powiedział przy tem, że to Prusacy do tego naszych zmusili. On mi nieraz opowiadał, że wszystko złe na świecie dzieje się przez Prusaków, bo oni chcieliby wszystkich Słowian opanować i dlatego ich kłócą pomiędzy sobą.

— Prawdę powiedział Mikołaj Trofimowicz, ale to jeszcze nie wszystko, co o tem powiedzieć potrzeba. Człowiek uczciwy, nie da się nawet szatanowi nakłonić do złego. Ale nie po to ja tu przyszedłem, żebyśmy o takich rzeczach mówili, bo młodziutki jesteś i niczemu nie zaradzisz.

— Przecież wyrosnę kiedyś.

— Teraz mój kochany panie Szasza — mówmy o przyjemniejszych rzeczach.

– Czyż może być dla mnie co przyjemnego, gdy nie wiem, co się dzieje z moją mamą. Ojczym ucieka przedemną: on coś złego mamie wyrządził. Żebym mógł znaleść mamę moją! Możeby pan na to poradził, pan taki dobry.

— Wszyscy będziemy się o to starali, a tymczasem trzeba się pocieszać tem, że masz koło siebie najlepszych przyjaciół i chociażby nawet matki ci zabrakło, nie brakłoby ci opieki uczciwych serc ludzkich.

Nagle drzwi się otwarły i wpadł Fabrequette.

— Przestańcież już rozczulać się ze sobą po rosyjsku, a chodźcie do nas. Mamy gości.

Nie czekając odpowiedzi, porwał jedną ręką Kosińskiego, a drugą Szaszę i wyciągnął ich do przyległego pokoju. Tu już zastali Daubraca i Rozalię. Doktor opowiedział baronowi o nieszczęściu Rozalii i o propozycyi, którą jej imieniem barona uczynił. Meriadec wyciągnął ku niej ręce przyjacielsko i rzekł z nadzwyczajną uprzejmością i szczerze uradowany:

— Ależ to prawdziwie zrządzenie Opatrzności, że pani była łaskawa zgodzić się na propozycyę mego przyjaciela. Łamałem sobie głowę nad tem, skąd wziąć opiekunki dla sieroty. Będę najszczęśliwszy, jeżeli pani zechce łaskawie być dla niego starszą siostrą, zastąpić mu matkę.

I opowiedział Meriadec całą historyę, jak Szasza dostał się pod jego opiekę. Rozalii bardzo się ta myśl spodobała; sierota zapragnęła nieść ulgę drugiej sierocie, bo jej się zdało, że przez to samo dozna ulgi w cierpieniu.

— Dziękuję pani za pomoc i zaraz przedstawię pupilka.

Wtedy to Fabrequette zerwał się z miejsca i sprowadził Szaszę i Kosińskiego z przyległego pokoju.

— Mój kochany przyjacielu — rzekł Meriadec do Szaszy — panna de Verdier jest tak łaskawą, że chce być twoją towarzyszką i opiekunką, jeżeli na to pozwolisz.

Szasza spojrzał na Rozalię śmiało i przenikliwie, ukłonił się jej uprzejmie i rzekł z naiwnością dziecięcą:

— Pani mi się bardzo podoba. Pani jest bardzo piękna i dobra, widać z twarzy. Nie mam siostrzyczki. Nie raz widziałem, jak w sąsiedztwie naszem, różnym chłopcom dobrze było z siostrzyczkami. Bardzo im zazdrościłem, a teraz już i ja będę miał siostrę. Niechże mi pani mówi „ty“, jak braciszkowi.

Meriadec ucieszył się bardzo tą wielką sympatyą, jaką Szasza powziął dla Rozalii. Dziecko zyskało stałą opiekunkę, a Meriadec zyskał teraz zupełną swobodę do czynienia poszukiwań. Przybyła też zarządczyni domu barona, aby się przedstawić nowej lokatorce i ofiarować jej swoje usługi. Rozalia udała się z nią do pawilonu, aby się tam urządzić, a Szasza pospieszył za nią, uradowany niezmiernie z pozyskania takiej opiekunki.

Baron, doktor, Fabrequette i Kosiński układali teraz w dalszym ciągu najrozmaitsze plany, jak pochwycić podejrzanego ojczyma sieroty i co uczynić z dzieckiem, bez uciekania się do interwencyi policyi. Chcieli biednemu chłopcu oszczędzić tych wrażeń, jakichby doznawać musiał, gdyby go wzięto do biurokratycznego śledztwa.

— Matki mu nie wskrzesimy — rzekł Meriadec — ale przynajmniej pomścimy jej śmierć.

Rozmowę przerwało dzwonienie, za chwilę służący przyniósł list i podał baronowi.

— Kapitan St. Briac — przeczytał Meriadec.— Prosić — rzekł do służącego.

Wszystkich ogarnęło zdziwienie. Wszedł kapitan.

— Chciałem pomówić słów kilka z panem baronem, a jeżeli pan w tej chwili zajęty, pozwoli pan może odwiedzić się innym razem.

— Rozmawiamy właśnie o sprawie, która może i pana zainteresuje. Mimowoli wyrządziliśmy panu wielką przykrość, przyczyniając się do pańskiego aresztowania. Ta przykra nadzwyczajnie pomyłka pochodzi atoli jedynie z winy niedołężnej policyi, a my pragniemy wynagrodzić panu wyrządzoną przykrość, przez ujęcie zbrodniarza. Jeżeli zamiary nasze pana interesują, będę prawdziwie wdzięczny, gdy pan w naszych naradach udział przyjąć zechce.

— Bardzo chętnie, zwłaszcza, że po to do pana przybyłem, aby szukać pomocy w zdemaskowaniu podejrzanego człowieka.

— W takim razie możemy powitać w panu, panie kapitanie, nowego sprzymierzeńca. Doktór D'Aubrac, malarz Fabrequette, malarz Kosiński. Prócz pana Kosińskiego, byliśmy już panu po części znani.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LUDWIK STASIAK.

Blankenberghe.

HUMORESKA.

Ta śliczna pani doktorowa odrodziła się od sławnych na cały świat, ze swej brzydoty, Prusaczek. Twarzyczka kształtnie zbudowana, czarne oczy, czoło aksamitne, na licach zakwitły płomienie polnych róż, usta...

— Oh te usta wiśniowe...

Skrada się do tych ust doktor, dusza mdleje na myśl, że pocałuje młodej żony wiśniowe usta... Jakby grom padł między męża i żonę.

— Nie, nie. Idź precz...

— Ależ Kathi...

— Precz mówię.

— Czego żądasz?

— Blankenberghe.

Wszystko doktór zrozumiał. Zatem to już nie chwilowy kaprys, to upór. A gdy doktor to zrozumiał, nogi pod nim zesłabły. Usiadł na fotelu, pomyślał chwilę... Rzekł stanowczym głosem:

— O Blankenberghe mowy niema.

— Zatem precz! Strać się z mych oczu.

— Nim się stracę, pozwól żono, że powiem słów kilka. Ty wiesz, że majątku nie mamy. Co prawda los mi poszczęścił, mam wielką klientelę, poczekalnia moja zawsze pełna pacyentów. Stali moi klienci czekają na ordynacyę. Lekceważyć ich żadną miarą nie wolno, samobójstwem zaś byłoby ich stracić. A stracę ich, jeśli spełnię twoją zachciankę i pojadę na letni pobyt do Blankenberghe. Moi chorzy przeniosą sią do innego doktora. Ja w Blankenberghe nowych pacyentów nie zdobędę, dawnych tu stracę...

— Stracisz? Zatem i ty strać mi się z oczu.

— Odpychasz mię?! Ty płaczesz?!

— Boże! Boże!

— Nie płaczże! Zastanów się! Czego ty żądasz?

— Blankenberghe! Blankenberghe!

— Nie można.

— Boże! Boże!

Płacz kobiety, ostrzejsza to broń niż bośniackie handżary. Płacz kobiety, to żywioł; walczył z nim doktor, aż rozsądek stracił. Walą się na niewzruszonych fundamentach zbudowane postanowienia. Gdy były w ruinie, zjawił się w budoarze lokaj i rzekł:

— Proszę pana konsyliarza, poczekalnia stałymi naszymi pacyentami przepełniona.

Wyszedł. To straszne. Straszne, a jednak oczywiste. Stoi w obliczu konieczności, że on z żoną, a raczej żona z nim, muszą wyjechać na lato do Blankenberghe. A tych pacyentów, którzy przepełniają poczekalnię, nie wolno mu stracić... Nie wolno za żadną cenę...

* * *

Doktór konsultuje pacyenta za pacyentem.

— Przebyłem zapalenie płuc. Kuracya już ukończona.

— Teraz pojedziesz pan na letni sezon do Blankenberghe.

— Brzuch mnie ciągle boli.

— Jutro wyjedziesz pan do Blankenberghe.

— Mam zapalenie nerek.

— Pojedziesz pan do Blankenberghe.

— Grzeszyło się za młodu, teraz mam tabes.

— Blankenberghe.

— Od gorzałki trzęsie mi się ręka.

— Panu się pewnie i do gorzałki trzęsie?

— A tak.

— No to pojedziesz pan do Blankenberghe.

— Niedowidzę na prawe oko.

— Blankenberghe.

— Widziałem wczoraj krajobraz morski, malowany akwarelą przez Cezara Augusta. Tak mnie zachwycił ten pejzaż, że dostałem nosacizny końskiej...

— Blankenberghe.

— Przetrącili mi nogę w stawie.

— Blankenberghe.

— W boku mię kłuje.

— Blankenberghe.

— Pan wie, panie konsyliarzu, że ja nigdy nie odznaczałem się zbyt wielkim rozumem, gdym jednak wczoraj podczas odsłonięcia pomnika w Berlinie, słyszał wygłoszoną przez Cezara Augusta mowę, zgłupiałem zupełnie...

— Blankenberghe.

— Ze mną dzieje się to samo. Wysłuchałem patryotycznej sztuki teatralnej, napisanej przez Cezara Augusta, bulczy mi teraz woda w głowie, tak jak i autorowi.

— Blankenberghe.

— W kościach mię drze.

— Blankenberghe.

— Reumatyzm w nosie.

— Blankenberghe.

— Opuchłem cały.

— Cóż się panu stało?

— Wykładałem religię w języku niemieckim w Poznaniu, wypłacono mi honoraryum, że mi dwa zęby z pyska wyleciały...

— Blankenberghe.

. . . .

— Niema już w poczekalni nikogo?

— Niema panie konsyliarzu.

* * *

— Poszedł doktor do budoaru młodej żony. Ujął jej białe rączki, spojrzał jej w oczy i rzekł:

— Twojej woli zadość się stało.

— Jakto?

— Pojedziemy na letni pobyt do Blankenberghe.

Zapłonęły jej lica barwą polnych róż, zaśmiała się kobieta. Uścisnęła ręce męża. sama idzie w jego objęcia. Ramiona liliowe na szyję męża zarzuciła, on patrzy na jej wiśniowe usta...

— Oh te wiśniowe usta...

KONIEC.

Zagadki do nagrody

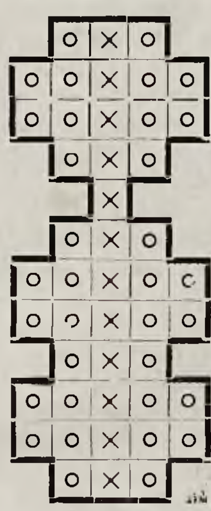
Szarada.

Czwartego z pierwszym lubię ugotowanego,
Lecz teraz w *drugim trzecim* trudno jest o niego.
Pierwsza czwarta nagrodą jest za złe uczynki,
Pierwsza druga i *pierwsza* to imię dziewczyki
Zdrobniałe, pieszczotliwe.
Całość jest to imię żeńskie, zgadnij czytelniku
I donoś do »Nowości« o całym wyniku.

Logogryf.

Ułożył E. B. z Krakowa.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, aby litery zastępujące krzyżyki, czytane w pionowym kierunku, utworzyły najnowszy utwór St. Wyspiańskiego.



Znaczenie wyrazów: 1. Nadmorskie miejsce kąpielowe. 2. Duży kawał drzewa. 3. Owoc hodowany w południowej Rosyi. 4. Okres czasu. 5. Samogłoska. 6. Mąż stanu japońskl. 7. Zwierzę domowe. 8. Miejsce życia zagrobowego w mitologii starożytnej. 9. Zwierzę drapieżne. 10. Przyrząd używany przy budowie mostów. 11. Drzewo iglaste. 12. Rzeka w Galicyi.

Zagadka zgłoskowa.

Ze zgłosek: a, an, by, czę, da, de, de, dyk, i, i, in, ju, ka, kus, kle, kół, ktyw, kwa, le, ll, lia, me, nan, ni, non, o, o, o, per, pi, ral, rium, ro, sko, sław, sło, sta, sto, tał, te, tes, tę tur, u, wan, wiad, wio, wy, ze, zy, ułożyć 18 wyrazów, których litery początkowe czytane z góry na dół, a końcowe z dołu do góry, utworzą imię, nazwisko i pseudonim poety polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1. Kwiat. 2. Rzeka w Rosyi. 3. Inacze majaczenie. 4. Przyrząd do kierowania łódką. 5. Gatunek drobiu. 6. Inaczej tok. 7. Okręt korsarski. 8. Miejsca urodzajne na pustyni. 9. Miasto portowe we Francyi. 10. Ajent policyjny. 11. Tytuł dramatu Szekspira. 12. Beczka. 13. Drogi kamień. 14. Odpadki przy mieleniu zboża. 15. Inaczej interwiew. 16. Rzeka na Wołyniu. 17. Rodzaj ogrodzenia. 18. Dwa imiona męskie.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek, przeznaczamy książkę p. t.: »Betleem Polskie« Lucyana Rydla z illustracyami.

Rozwiązanie zagadek z Nru 30.

Logogryf.

Władysław Zeleński — Stara baśń.

Zagadka literacka.

Adolf Dygasiński — Eliza Orzeszkowa.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: Z. Karasińska Wadowice, F. Kalita Gawłuszowice, F. Niepokój Krosno, M. Arbesbauer Lwów, K. Sokołowski Mikołajów, S. Spunda Skała, M. Rożański Libusza, M. Opolska Czarny Dunajec, K. Burdowicz Buczacz, K. Fuchs Czeremchów, H. Leligdowicz Praga, Tow. »Zgoda« Krosno, B. Ramułtowa Jeżów, J. Czechowicz Mikołajów, Ludwig Lasota Stryj.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. L. Lasota Stryj Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.

Z półek księgarskich.

Nakładem zasłużonej firmy wydawniczej Zukerkandla w Złoczowie, wyszło znowu kilka zeszytów »Biblioteki powszechnej«, zawierającej wybitne dzieła tak literatury polskiej, jak innych narodów. Ostatnie tomiki zawierają: Dr. Janik: »Literatura polska syberyjska«. Orzeszkowa: »Marta«. Bodzantowicz: »Boje polskie i przygody żołnierza«. Korzeniowski: »Wąsy i Peruka«. Mendes: »Nowelle«. Zolla: »Radykał« i »Nantes«. Ogólnego zbioru wyszło już 641 numerów.

NADESŁANE.

Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).

Postępu kosmetycznego na Węgrzech dowodzi najlepiej fakt, że **Baros Gabor, Varosmajor ucta 41,** którego firma cieszy się dobrą sławą, (we własnym domu) wytwarza **kosmetyczne i toaletowe artykuły w najlepszym gatunku.** Wytwory te, z powodu swej cudownej jakości i taniości cieszą się tabiem wzięciem, że podobne zagraniczne wytwozy są nie używane więcej. Swój obszerny i zajmujący cennik tych znakomitych wytworów, jak też **preperatńw z działu win i gospodarstwa piwnicznego,** wysyła firma **Baros Gabor** najchętniej każdemu żądającemu. który się o to zwróci do głównego składu (**Dohany ucta 1 Depot 48**).